

Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki

„Kamienne piekło”

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych
NR 10(418) PAŹDZIERNIK 2025

ISSN 0867-8952



Do ostatniego naboju



KOMBATANT
BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 10(418) październik 2025



dołącz do nas na facebooku i na X
www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powiśńska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Siła Solidarności

Rejestracja Solidarności pozwoliła uniknąć groźby poważnego konfliktu społecznego, a jednocześnie pokazała, jak wielka siła stoi za nowym ruchem społecznym. Rozmowa z historykiem Tomaszem Kozłowskim

Katarzyna Krzykowska

7 Do ostatniego naboju

Żołnierze gen. Franciszka Kleeberga stanęli na wysokości zadania. Maszerując przez zniszczony wojną kraj, walcząc z dwoma agresorami, nie doznali żadnej porażki. Los nie był jednak dla nich łaskawy

Waldemar Kowalski

12 Wołyń. Historia, która wraca...

Bez Ukraińców, Białorusinów i Litwinów nie byłibyśmy tym narodem, którym dziś jesteśmy. Rozmowa z Mariuszem Maszkiewiczem, autorem książki-reportażu „Podarowana”

Norbert Nowotnik

16 Ostatnia droga ks. Popiełuszki

Odprawiane przez niego msze za Ojczyznę w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu gromadziły tłumy i wywoływały wściekłość władz PRL. Od początku nie ulegało wątpliwości, że pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki – ze względu na jego popularność i okoliczności śmierci – będzie wydarzeniem wyjątkowym

Grzegorz Majchrzak

20 Echo „kamiennego piekła”

Miejsca martyrologii z lat II wojny światowej to namacalne świadectwa bolesnej przeszłości. Powstałe na terenach byłych niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady muzea – Miejsca Pamięci – przybliżają i przypominają tamte wydarzenia

Renata Paluch

24 Nigdy nie żałowałem

Zaangażowanie się w Solidarność było moim najlepszym życiowym doświadczeniem. – powiedział Henryk Sikora, działacz opozycji antykomunistycznej, współzałożyciel i szef Biura Informacyjnego NSZZ „Solidarność” w Australii oraz Australijskiego Funduszu Solidarności z Polską

Mateusz Wyderka

28 Triumfalna podróż noblisty

Po wielu latach nieobecności, w czerwcu 1981 r., z wizytą do Polski przyjechał Czesław Miłosz. Dlaczego właśnie wtedy? Najkrótsza odpowiedź brzmi: wcześniej nie bardzo mógł. Przez wiele lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych, a w kraju stał się wręcz osobą wyklętą

Grzegorz Majchrzak

Siła pamięci, siła wspólnoty

Każde pokolenie ma swój czas próby – moment, w którym historia stawia pytanie o sens wolności, odpowiedzialności i solidarności. Wtedy ujawnia się to, co w narodzie najcenniejsze: zdolność do jedności, do bezinteresownej troski i poświęcenia – nawet wtedy, gdy wszystko wokół zdaje się temu przeczyć. Polska niejednokrotnie dowiodła, że przetrwała właśnie dzięki wspólnotce.

W tym numerze przypominamy ludzi i wydarzenia, które złożyły się na wielką opowieść o polskiej wolności – od żołnierzy generała Franciszka Kleeberga, walczących do ostatniego naboju w 1939 roku, po działaczy Solidarności, którzy swą determinacją rozbili mur strachu i obojętności. To historia ludzi, którzy w czasach beznadziei potrafili zachować wiarę w sens działania. Ludzi, którzy – jak pisał Czesław Miłosz – „ocalali w sobie człowieka”. Bo choć zmieniały się granice i ustroje, jedno pozostawało niezmiennie: przekonanie, że wolność wymaga odwagi, a solidarność ma moc większą niż przemoc.

Dziś, gdy Europa i świat znów mierzą się z niepewnością i konfliktami, pamięć o tamtych doświadczeniach nabiera nowego znaczenia – nie tylko jako przestroga, lecz także jako źródło siły. Nadal możemy uczyć się od tych, którzy potrafili być wierni swoim wartościom – od żołnierzy wrzesnia, przez Solidarność, po współczesnych strażników pamięci.

Siła Solidarności polegała na tym, że po raz pierwszy od wielu lat Polacy poczuli, iż mogą coś zmienić razem. Rejestracja związku w 1980 roku nie była tylko sukcesem politycznym, ale również przełomem moralnym. Pokazała, że wspólnota może zwyciężyć nawet w świecie zdominowanym przez przemoc i kłamstwo. Zamiast przemocy – dialog. Zamiast nienawiści – solidarność. To była prawdziwa lekcja obywatelskiej odwagi i determinacji.

Siła żołnierzy generała Kleeberga tkwiła w ich wierności. Walczyli z honorem, wierząc, że Polska nigdy nie przestanie istnieć. Ich postawa przypomina, że godność nie zależy od zwycięstwa, lecz od wierności sobie, przysiędze i Ojczyźnie. Gdy los Polski był przesądzony, żołnierze Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” pokazali, czym jest prawdziwa służba narodowi. Generał Kleeberg w jednym ze swoich rozkazów pytał: „Co powie naród, jeśli w walce z takim wrogiem i o taką sprawę armia polska zaprzestanie oporu, nie wyczerpawszy wszystkich możliwości?”. To pytanie wciąż brzmi aktualnie – jako wezwanie do odpowiedzialności i odwagi.

Z kolei rozmowa z Mariuszem Maszkiewiczem o Wołyniu pokazuje, że historia – nawet ta najtrudniejsza – może być przestrzenią dialogu. Bo bez prawdy nie ma sprawiedliwości, a bez sprawiedliwości nie ma pokoju. Polska zawsze była krajem pogranicza – miejscem spotkania kultur, języków i religii. Z tej różnorodności brała się nasza siła.

Dziś, w epoce szybkich zmian i powierzchownych sądów, łatwo ulec złudzeniu, że historia jest już tylko wspomnieniem, dlatego warto wsłuchać się w głosy tych, którzy jej doświadczyli. Bo pamięć – to nie przeszłość. To siła, która buduje przyszłość.



Lech Parell

*Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*



Tomasz Kozłowski
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Siła Solidarności

Rejestracja Solidarności pozwoliła uniknąć groźby poważnego konfliktu społecznego a jednocześnie pokazała, jak wielka siła stoi za nowym ruchem społecznym. Od tej chwili Solidarność stała się legalnym, ogólnopolskim związkiem zawodowym, pierwszym takim w całym bloku wschodnim – powiedział historyk dr Tomasz Kozłowski z Biura Badań Historycznych IPN.

Podpisanie porozumień sierpniowych nie było równoznaczne z powołaniem jednego, obejmującego cały kraj związku zawodowego. Droga do zalegalizowania Solidarności była daleka. Już na początku działalności nowe związki zawodowe musiały podjąć decyzję o kształcie swoich struktur. Jakie koncepcje rozważano?

Na starcie wcale nie było oczywiste, jak taki związek ma wyglądać. W grę wchodziły dwie główne koncepcje – albo struktura regionalna, czyli związki w poszczególnych częściach kraju, albo organizacja ogólnopolska, federalna. Władze od samego początku twardo stawiały na wariant regionalny. Rządowi negocjatorzy nie dopuszczali

możliwości, by powstał jeden, ogólnopolski związek – przekraczało to wyobrażenie zarówno ich, jak i Kremla.

Jednej, ogólnopolskiej struktury obawiali się także liderzy strajkowi. Lech Wałęsa w pierwszych dniach po podpisaniu porozumień tłumaczył robotnikom, że Gdańsk będzie miał własny związek. Potwierdzał to też An-

◀ Sąd Wojewódzki w Warszawie, składanie wniosku o rejestrację i statut Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, 24 września 1980 r. FOT. PAP

drzej Gwiazda, wspominając później, że strona rządowa „zmusiła nas do deklaracji regionalnej”. Część działaczy obawiała się, że zbyt odważne działanie sprowokuje władzę do siłowej interwencji. Niektórzy byli przekonani, że trzeba budować regionalny związek w oparciu o znanych i sprawdzonych ludzi – ich zdaniem stworzenie jednej ogólnopolskiej organizacji

swój regionalny ośrodek, nie ogólnopolską strukturę. Jednak większość pozostałych ośrodków uznawała Gdańsk za centrum, matecznik nowych związków, symbol sukcesu i chciała działać z nim wspólnie.

Ostatecznie zdecydowano się na ustanowienie struktury ogólnokrajowej, w ramach której decyzje podejmowałyby delegacje organizacji regionalnych. Koncepcję tę zaczęto wcielać w życie od zjazdu delegacji Międzyzakładowych Komitetów Założycielskich, który odbył się 17 września



Wiec na stadionie RKS Ursus, Warszawa 24 września 1980 r. FOT. PAP/JAN MOREK

umożliwiłoby Służbie Bezpieczeństwa wprowadzenia do jej struktur swoich tajnych współpracowników. Jednak inne sygnały napływały z całego kraju. Przedstawiciele nowych lokalnie zakładanych związków dzwonili, pisali i przyjeżdżali do Gdańska z prośbą o radę, ale i wsparcie. Sytuację zmieniło też porozumienie katowickie, podpisane 11 września 1980 roku. Dawało ono prawo do tworzenia nowych związków zawodowych na terenie całego kraju.

W ciągu trzech tygodni po podpisaniu porozumień sierpniowych sytuacja była dość jasna. Gdańscy liderzy byli przekonani, że muszą zbudować

1980 roku w Gdańsku. Jaka argumentacja przeważała za tą koncepcją? Kto zaproponował nazwę Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”?

Główna myśl była bardzo prosta: tylko razem można było stawiać czoła tak scentralizowanej władzy, jaką była partia komunistyczna. Działacze, zwłaszcza z mniejszych miast, doskonale zdawali sobie sprawę, że sami nie mają szans. Jeśli zostaną w izolacji, władze będą mogły skutecznie na nich naciskać. Ta zależność działała w dwie strony. Opozycjonista, historyk Karol Modzelewski mówił w czasie tego zjazdu wprost, że Gdańsk „popelni sa-

mobójstwo, jeżeli odetnie się od Polski”, bo to właśnie dzięki poparciu całego kraju udało się wygrać sierpniowy strajk. W jedności siła.

Po drugie, tylko jeden wielki związek mógł być partnerem do rozmów z władzami. Bez tego nie dałoby się prowadzić rozmów na szczeblu centralnym, walczyć o zmiany w prawie, ustępstwa płacowe. Lokalne organizacje mogłyby skutecznie działać tylko w swoim zakładzie, ale nie miałyby żadnego wpływu na politykę państwa. Trzeba też wspomnieć o tym, że jeden związek – oparty na strukturach regionalnych, nie branżowych – uniemożliwiał władzom stosowanie taktyki „dziel i rządź”. Nie można już było dogadywać się tylko z górnikami czy stoczniowcami, a ignorować nauczycieli czy pracowników służby zdrowia. Wspólna struktura chroniła słabszych.

W czasie pierwszego zjazdu MKZ-ów, który miał miejsce 17 września 1980 roku, racje za jednym związkiem wyłożyli najlepiej adwokat (i późniejszy premier III RP) Jan Olszewski oraz wspomniany Karol Modzelewski, doskonały mówca. To on zaproponował nazwę Solidarność – dobrze oddawała ona ideał ruchu związkowego i jednocześnie nawiązywała do nazwy biuletynu strajkowego, wydawanego w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Na czele nowo powołanego związku stanął Lech Wałęsa.

Wałęsa przyjechał 24 września 1980 roku do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, by osobiście złożyć dokumenty wymagane do rejestracji pierwszego w obozie komunistycznym wolnego związku zawodowego. Władza wówczas postanowiła zastosować taktykę przeczekania... Dlaczego sprawa rejestracyjna trwała ponad miesiąc? Dlatego, że nie chodziło o prawo, tylko o politykę. Formalnie wszystko było jasne: związek miał statut, zebrał wymagane dokumenty, spełniał warunki. Ale dla władz PRL jego rejestracja

była czymś niewygodnym, niezwykle groźnym. Zastosowano taktykę „na przeczekanie”, odwlekano wydanie postanowienia, a w tym czasie zaczęto nakłaniać władze Solidarności do zmian w statucie, ustępstw politycznych. Sąd Wojewódzki, zamiast szybko wydać decyzję, zaczął mnożyć uwagi. Mówił o tym, że statut nie uwzględnia w odpowiednim stopniu roli partii, wyklucza z członkostwa funkcyjnych członków PZPR Solidarność była już jednak zbyt silna, aby ulec takim naciskom. 3 października 1980 roku zarządziła jednogodzinny, ogólnopolski strajk, który okazał się wielkim sukcesem – protestowało ponad 1,2 miliona osób.

Władze musiały się ugiąć. Mówię władze, nie sąd, ponieważ cały proces był sterowany politycznie. To członkowie Biura Politycznego KC PZPR, wraz z ministrem sprawiedliwości oraz sędzią prowadzącym sprawę wspólnie dywagowali na temat sposobu rozegrania tej sprawy. Zachowała się korespondencja, w której minister sugerował kierownictwu partyjnemu, aby zarejestrować Solidarność, ale jednocześnie wprowadzić poprawki do statutu. Tak zrobiono. To wygenerowało jednak kolejny kryzys. Wałęsa stwierdził po tej rozprawie: „Wydaje mi się, że zarejestrowano inny związek, niż ja reprezentuję”.

Obie strony zaczęły szykować się do konfrontacji: Solidarność zapowiedziała kolejny wielki strajk, władze zaczęły szykować się do wprowadzenia stanu wyjątkowego, internowania i aresztowania działaczy. Jednak w interesie obu stron leżało znalezienie polubownego wyjścia. Związek nie chciał ryzykować starcia, kierownictwo partyjne, MSW oraz MON nie były jeszcze gotowe na siłową konfrontację, obawiały się przegranej.

Jak udało się wynegocjować rozwiązanie do przyjęcia przez Solidarność?

To był bardzo nerwowy moment. Solidarność złożyła odwołanie od wyroku do Sądu Najwyższego. Jednocześnie zaczęła szykować się do strajku, a związkowcy w całej Polsce organizowali akcje plakatowe – domagali się rejestracji bez zmian w statucie. Rząd nie chciał się ugiąć. Ostatecznie doszło do kluczowych zakulisowych rozmów, w trakcie których de facto ustalano wyrok Sądu Najwyższego. Solidarność reprezentowali na tych tajnych negocjacjach

dnocznej Partii Robotniczej unikając rozwiązania problemu Solidarności. Przywódca NRD Erich Honecker przecierał oczy ze zdumienia i powiedział, że nigdy nie wpadłby na pomysł, by partia stała się dodatkiem do statutu.

Sąd Najwyższy 10 listopada zmienił zaskarżone postanowienie Sądu Wojewódzkiego i dokonał rejestracji NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku. Co oznaczało zatwierdzenie statutu Solidarności?



Rejestracja Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” w Sądzie Najwyższym. Od prawej: Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski. Warszawa, 10 listopada 1980 r. FOT. PAP

Karol Modzelewski, Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Gwiazda. Wałęsa wołał się nie mieszać, żeby w razie fiaska nie osłabiać swojej pozycji lidera całego związku.

Kluczem do kompromisu był aneks do statutu. Dołączono do niego tekst konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy oraz fragment porozumienia gdańskiego. Ten drugi dokument odwoływał się m.in. do kierowniczej roli partii, co dawało władzom poczucie, że związek uznaje podstawy ustroju. Ale w praktyce statut się nie zmieniał – niezależność została zachowana. Ustępstwo polskich władz było dla wszystkich czytelne. Kreml postrzegał to jako wyraz słabości i dowód na to, że władze Polskiej Zje-



Konferencja prasowa NSZZ „Solidarność” w Zakładach Mechanicznych im. Nowotki, październik 1980 r. FOT. PAP

To był moment przełomowy. Symbolicznie było to zwycięstwo nad próbami narzucenia swojej woli przez

komunistów. Rejestracja pozwoliła uniknąć groźby poważnego konfliktu społecznego a jednocześnie pokazała, jak wielka siła stoi za nowym ruchem społecznym. Od tej chwili Solidarność stała się legalnym, ogólnopolskim związkiem zawodowym – pierwszym takim w całym bloku wschodnim. Oznaczało to możliwość działania zgodnie z prawem, własną organizację, możliwość zbierania składek i darowizn, budowanie struktur, utrzymywanie stosunków międzynarodowych z innymi, głównie zachodnimi, związkami zawodowymi. Zalegalizowanie Solidarności przetarło szlak dla kolejnych związków i organizacji takich jak Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych Solidarność oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów.

Jak mogłaby się potoczyć historia, gdyby władza nie zgodziła się na rejestrację związku?

Prawdopodobnie doszłoby do otwartego konfliktu. Strajk generalny był już zapowiedziany, władze przygotowywały plany siłowego rozwiązania kryzysu. Konsekwencje konfrontacji byłyby nie do przewidzenia, nie tylko w wymiarze krajowym. Na Polskę patrzył cały świat – w latach 1980–1981 – znalazła się ona w samym centrum zimnej wojny. Brak stabilności mógłby stanowić czynnik, który wymusiłby reakcję przywódców państw Układu Warszawskiego. Dopóki sytuacja w Polsce była stabilna, jedynie straszono interwencją militarną, ale w przypadku otwartego konfliktu polsko-polskiego mogłoby się nie skończyć na groźbach. W praktyce to właśnie obawa przed takim scenariuszem zmusiła władze do ustępstwa. Wiedziały, że cena konfrontacji mogłaby być zbyt wysoka – zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



TEKST | Waldemar Kowalski

Do ostatniego naboju...

Żołnierze gen. Franciszka Kleeberga stanęli na wysokości zadania. Maszerując przez zniszczony wojną kraj, walcząc z dwoma agresorami, nie doznali żadnej porażki. Los nie był jednak dla nich łaskawy – wskutek braku amunicji, mimo zwycięskiej passy, musieli skapitulować.

Gdy 9 września 1939 roku gen. Kleeberg – jako dowódca Okręgu Korpusu nr IX w Brześciu nad Bugiem – otrzymał rozkaz tworzenia improwizowanych oddziałów do obrony Polesia, rozpoczynała się kluczowa dla przebiegu całej kampanii bitwa nad Bzurą. Na północy wojska niemieckie osiągnęły rejon Biebrzy, Narwi i Bugu. Doszły też do linii Wisły, rozpoczynając szturm Warszawy.

Pomimo pogarszającej się z dnia na dzień sytuacji na froncie, niedostatku sprzętu łączności i braku wystarczających środków transportu, generał

przystąpił do zdecydowanego działania. Organizowanie Grupy Operacyjnej „Polesie” oparł o ośrodki zapasowe czterech dywizji piechoty – 9, 18, 20 i 30. Siły te miały ubezpieczać liczący ok. 250 km odcinek frontu biegnący wzdłuż Prypeci, od Brześcia do granicy ze Związkiem Sowieckim. Obronie sprzyjały bagna poleskie, uniemożliwiające okrążenie polskich pozycji od wschodu.

Generał Paul Otto przyjmuje od gen. Franciszka Kleeberga kapitulację Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” pod Kockiem, 6 października 1939 r. FOT. BUNDESARCHIV

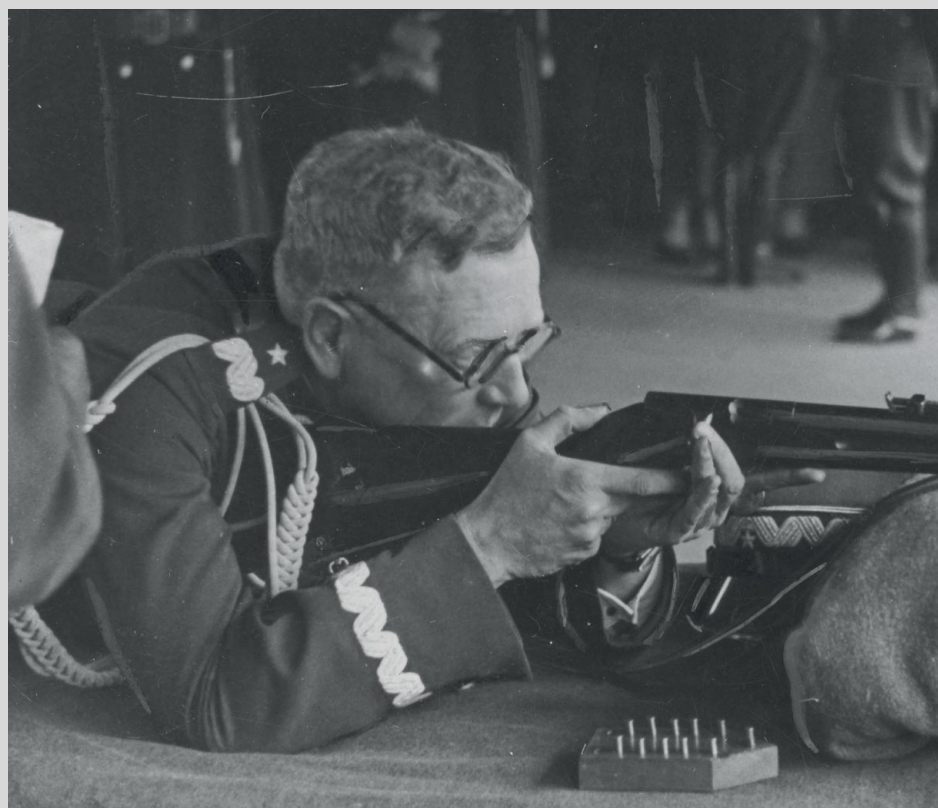
Już 13 września sztab obrony Polesia zainstalował się w Pińsku, gdzie kilka dni wcześniej przeniesiono też kwaterę Naczelnego Wodza. Stacjonująca tam flotyła rzeczna przeszła pod rozkazy gen. Kleeberga, podobnie jak załoga bohatersko broniącej się przez kilka dni twierdzy brzeskiej. Podobnie uczyniły resztki oddziałów Wojska Polskiego, które dotarły na Polesie (zgrupowania „Drohiczyn”, „Jasiółda” i „Kobryń”) i nieliczne oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza.

17 września, we wczesnych godzinach rannych, Polskę – bez wypowiedzenia wojny – zaatakowała Armia Czerwona. Rzeczypospolita znalazła się w kleszczach dwóch potęg militarnych. Los osamotnionego Wojska Polskiego był przesądzony...

Już dzień przed sowiecką agresją gen. Kleeberg utracił łączność z Naczelnym Wodzem. Wykazał się jednak „chłodną” głową i wyjątkowym hartem ducha. Nie był to odosobniony przykład – jak pokazały późniejsze wypadki – wzięcia odpowiedzialności za swych żołnierzy. To cechowało tylko najlepszych dowódców.

– *Wojna jest przegrana. Ale honor żołnierza nie jest przegrany. Mam żołnierzy pod swoją komendą. Nie opuszczę ich* – miał odpowiedzieć generał komendantowi pińskiego lotniska, który zaoferował mu ewakuację do Rumunii. Był 18 września, dzień po zdradzieckim „ciosie w plecy”, zadany Polakom przez Armię Czerwoną. Z kraju ewakuowały się już władze państwowe z prezydentem Ignacym Mościckim na czele. Granicę z Rumunią przekroczył też Naczelny Wódz, podejmując najbardziej kontrowersyjną decyzję września 1939 roku.

Żołnierze gen. Kleeberga – z Grupy Operacyjnej „Polesie” – kontynuowali marsz na południe z zamiarem dalszej walki. Ich dowódca już wcześniej oświadczył w jednym z rozkazów: *Bronić się na błotach poleskich, wykorzystując wszystkie przeszkody wodne.*



Generał brygady Franciszek Kleeberg oddaje honorowy strzał z karabinka sportowego – lata 30. FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (WWW.NAC.GOV.PL)

Na pomoc stolicy

Po nieudanej próbie koncentracji sił w rejonie Kowla gen. Kleeberg rozkazał żołnierzom marsz w kierunku oblężonej przez Niemców Warszawy. – *Co powie naród, jeśli w walce z takim wrogiem i o taką sprawę armia polska zaprzestanie oporu, nie wyczerpawszy wszystkich możliwości?* – pytał dowódca, usiłując przyjąć z odsieczą walczące stolicy.

Oddziały GO „Polesie” miały jak najszybciej przeprowadzić się przez Bug i dojść do Włodawy. Polacy maszerowali mimo niedostatecznego rozpoznania terenu, przy zerwanej łączności ze sztabem głównym, narażeni na atak nie tylko Wehrmachtu, ale też prosowieckich grup dywersyjnych i podążających za nimi regularnych jednostek Armii Czerwonej. – *Nie było poważniejszej bitwy, ale dzień i noc słyszał było strzały patroli, rozpoznawczych. Wszędzie płonęły wsie, dwory, miasteczka. Noce były jasne od ognia, dni zaciemnione słupami dymu. Obok małych oddziałów regularnych wojsk*

spotykały nasze ubezpieczenia jakieś dzikie oddziały domorosłych komunistów, bandytów wypuszczonych z więzień, które robiły wojnę na własny rachunek – wspominał płk Adam Epler, dowódca Dywizji „Kobryń” (przeformowanej 28 września w 60. Dywizję Piechoty).

Oddziały gen. Kleeberga nie ograniczały się tylko do intensywnego marszu w celu uniknięcia kontaktu z nieprzyjacielem. Wręcz przeciwnie, polscy żołnierze organizowali akcje zaczepno-dywersyjne! Ich celem – jak wyjaśniał w rozkazie z 22 września generał – było *ciągłe i systematyczne nękanie oddziałów niemieckich znajdujących się w rejonie Brześć i Kobryń przez ostrzeliwanie pojedynczych żołnierzy, napadanie na transporty żywności, amunicji itd.* W nocy z 26 na 27 września kleeberczycy osiągnęli linię Bugu w rejonie Włodawy i Garbowa. W międzyczasie nadeszła tragiczna wieść ze stolicy – miasto skapitulowało, o czym informował dowódca Armii „Warszawa” gen. Juliusz Rómmel. Da-



*Wojna jest przegrana.
Ale honor żołnierza nie
jest przegrany. Mam
żołnierzy pod swoją
komendą.
Nie opuszczę ich*

gen. Franciszek Kleeberg

Iszy marsz stał się bezcelowy, zagrażał ponadto samemu istnieniu GO „Polesie”. W tej sytuacji zarządzono odwrót.

Trzeba przedłużyć tę wojnę

28 września, wskutek reorganizacji sił, powstała Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” – ostatni wielki oddział Wojska Polskiego w wojnie obronnej 1939 roku. Tego samego dnia, na odprawie wyższych dowódców, postanowiono o dalszym marszu na zachód.

Kolejnym celem była Lubelszczyzna, a konkretnie Stawy pod Dęblinem, gdzie znajdowała się składnica

uzbrojenia, której nie udało się wykryć niemieckiemu wywiadowi. Po zdobyciu broni i amunicji gen. Kleeberg zamierzał kontynuować walkę. Jak tłumaczył w rozmowie z gen. Zygmuntem Podhorskim, dowódcą Dywizji Kawalerii „Zaza”: – *To nie jest jakaś desperacka decyzja, ona ma sens polityczny. Trzeba przedłużyć tę wojnę. Demonstrować światu, że Hitler nie podbił Polski w osiemnaście dni, jak się chęli.*

Po drodze Polacy stoczyli zwycięskie walki z oddziałami sowieckimi pod Jabłonią i Milanowem (28–30 września). Dowódca SGO „Polesie” zezwolił nawet jeńcom z Armii Czerwonej wstąpić w szeregi swojego oddziału. – *Opowiadali o nędzy, o złym traktowaniu, (...) zaczęli prosić, aby ich wcielić do polskich oddziałów. Przysięgali, że będą nam wierni i pójdą wszędzie z nami* – opisywał reakcje czerwonoarmistów po wzięciu do polskiej niewoli płk Epler.

1 października sztab SGO „Polesie” zainstalował się w Serokomli, osiagając wcześniej rejon Sukowa, Radzyna i Kocka. Na tym obszarze, w wielu pobliskich miejscowościach, następnego dnia rozpoczął się ostatni bój kampanii polskiej 1939 roku, znany powszechnie jako bitwa pod Kockiem.

Generał Kleeberg wiedział, gdzie przyjąć walkę. Ukształtowanie terenu i gęste zalesienie stwarzały dla Polaków korzystne warunki do obrony. Z kolei Niemcom, dysponującym sporą przewagą ogniową, utrudniały wykorzystanie przewagi technicznej w sprzęcie i uzbrojeniu. Polski dowódca znał też położenie oddziałów wroga – dzień przed bitwą jego żołnierze przechwycili niemiecką dokumentację z mapami i planami wojennymi.

Pod Kockiem Niemcy spodziewali się zastać zdziesiątkowane oddziały WP, określane jako „większa grupa rozbitków”. Tymczasem rzeczywiste polskie siły skoncentrowane w tym rejonie obejmowały 17–18 tys. żołnierzy,

zgrupowanych w: 50. Dywizję Piechoty (dowódca płk Ottokar Brzoza-Brzezina), 60. Dywizję Piechoty (płk Adam Epler), Dywizję Kawalerii „Zaza” (gen. Zygmunt Podhorski), Podlaską Brygadę Kawalerii (gen. Ludwik Kmicic-Skrzyński), 13. Eskadrę Lotniczą. Ponadto w składzie SGO „Polesie” znajdowały się służby, tabory i oddziały etapowe. Armii gen. Kleeberga Niemcy przeciwstawili 13. Dywizję Piechoty Zmotoryzowanej (gen. Paul von Otto), oraz ściągniętą w rejon bitwy (4 października) 29. Dywizję Piechoty Zmotoryzowanej (gen. Joachim von Lemelsen). Oba związki taktyczne wchodziły w skład XIV Korpusu Zmotoryzowanego (gen. Gustav von Wietersheim).

Ostatni bój

2 października, około południa, nieprzyjaciół zaatakował Serokomlę i Kock, jednak polska obrona się nie załamała. Niemcy ponowili natarcie kolejnego dnia, atakując z rejonu Przytoczna, Poizdowa i Charlejewo. Równocześnie z Białobrzegów i Talczyńska ruszyło polskie kontruderzenie. Atakowano również szosę biegnącą z Serokomli do Kocka, ciężkie walki toczyły się o folwark Annapol.

O trudach, jakie napotkali Niemcy w zetknięciu z SGO „Polesie”, świadczy treść jednego z komunikatów, nadanego 3 października po całonocnym boju. Jak alarmowali: *XIV Korpus i 13 Dywizja Piechoty Zmotoryzowanej odbija głównymi siłami natarcie polskie związku wszystkich rodzajów broni pod Kockiem i na północny zachód od tegoż. Walki jeszcze nie zakończone.* W drugiej fazie bitwy pod Kockiem, zapoczątkowanej 4 października, najcięższe walki toczono o opasowanie Adamowa, Krzywdy oraz Woli Gułowskiej, która kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk.

Wskutek zwiększającej się przewagi wroga (nadejście niemieckich posiłków – 29. Dywizji Piechoty Zmoto-

ryzowanej) gen. Kleeberg podjął decyzję o przeprowadzeniu natarcia. – *O przejście musimy stoczyć bitwę, właściwie dwie bitwy, jutro z trzynastą, pojutrze z dwudziestą dziewiątą [dywizją – red.]. To nie jest łatwe zadanie (...). W dodatku nieprzyjaciel, który dotychczas górował nad nami tylko technicznie, teraz ma przewagę techniczną, liczebną i lepiej się ustawił. Siedzimy właściwie w kotle z nie-domkniętą pokrywą – mówił na odprawie we wsi Krzywda polski dowódca.*

Ostatniego dnia walk – 5 października – Polacy brawurowym atakiem zdobyli silnie broniony przez Niemców teren kościoła w Woli Gułowskiej oraz wyparli wroga z miejscowego cmentarza. W walkach uczestniczył Marian Brandys, znany powojenny reportażyista. – *Poczęliśmy biec szeroką tyralierą oficerską – relacjonował – jak naganiacze w myśliwskiej nagonce – potrząsając pistoletami i obłędnie wrzeszcząc. Przestaliśmy się kryć przed kulami. Przestaliśmy w ogóle myśleć. Ogarnięci smokiem bitwy, ogluszeni hukiem wystrzałów i własnym wrzaskiem – przez pot zalewający oczy widzieliśmy już tylko biały kościół, który mieliśmy zdobyć.*

5 października Polacy z powodzeniem przeprowadzili również natarcie na Wojcieszków oraz odzyskali Adamów. Nieprzyjaciel utracił także Czarną, Charlejew oraz Helenów, zdobyty po walce na bagnety. Niemcy niemal na całej linii walk znaleźli się w odwrocie. Zaistniały warunki ku temu, aby następnego dnia zadać ostateczną klęskę niemieckiej 13. Dywizji.

Wykazaliście hart i odwagę

Mimo że polscy żołnierze osiągnęli w bitwie wyraźną inicjatywę, zadając Niemcom spore straty, gen. Kleeberg podjął najtrudniejszą z możliwych decyzji, nakazując swym żołnierzom złożyć broń. Było to podyktowane wyczerpaniem zapasów amunicji i żywności, brakiem łączności z innymi od-

ziałami, jak również troską o życie podkomendnych. Dowódca uznał, że nie ma prawa, za wszelką cenę, wymagać dalszych ofiar od swych żołnierzy.

Wieczorem 5 października, przebywając w leśniczówce Hordzieszka, generał wydał pożegnalny rozkaz tej treści: *Z dalekiego Polesia, znad Narwi, z jednostek, które się oparły w Kowlu demoralizacji – zebrałem Was pod swoją komendę, by walczyć do końca. Chciałem iść najpierw na południe; gdy to się stało niemożliwe – nieść pomoc Warszawie. Warszawa padła, nim doszliśmy. Mimo to nie straciliśmy nadziei i walczyliśmy dalej, najpierw z bolszewikami, następnie w bitwie pod Serokomlą z Niemcami. Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dziś jesteśmy otoczeni, a amunicja i żywność są na wyczerpaniu. Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może. Przywilejem dowódcy jest brać odpowiedzialność na siebie. Dziś biorę ją w tej najcięższej chwili – każąc zaprzestać dalszej bezcelowej walki, by nie przelewać krwi żołnierskiej nadaremnie. Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą karność – wiem, że staniecie, gdy będzie trzeba. Jeszcze Polska nie zginęła. I nie zginie!*

Dowódca SGO „Polesie” oznajmił swą decyzję innym oficerom na wieczornym spotkaniu. Miał marsową minę, był zafrasowany, sprawiał wrażenie człowieka przygniecione go ciężarem chwili. – *Stary wytrawny żołnierz miał tży w oku – zapamiętał twarz przełożonego płk Tadeusz Falewicz.*

Pułkownik Adam Epler wspominał: *Odprawa miała wysoce dramatyczne napięcie. Generał Kleeberg był głęboko przybity, ale spokojny. Nie mógł sobie nic zarzucić. Uzasadniał konieczność złożenia broni.*

Przebieg spotkania tak relacjonował płk Mikołaj Łapicki, szef Sztabu SGO „Polesie”: *Jak gdyby szukając*

moralnego poparcia dla swojej tragicznej decyzji, gen. Kleeberg zapytał obecnych na odprawie dowódców o ich opinię. Wszyscy zawiesili głowy i milczeli. Gen. Kleeberg ponownie zabrał głos i powiedział, że bierze na siebie pełną odpowiedzialność za ten krok. Jeżeli błądzi, to tylko na niego padnie wina i swoim honorem i imieniem dobrego żołnierza zapłaci za nią.

Rozkaz o kapitulacji nie dotarł do 3. Pułku Strzelców Konnych, który 6 października około godz. 3 nad ranem stoczył potyczkę z Niemcami w miejscowości Kalinowy Dół. Tam właśnie miały rozbrzmieć ostatnie strzały przegranej kampanii 1939 roku.

*Z dalekiego Polesia,
znad Narwi, z jednostek, które się oparły
w Kowlu demoralizacji
– zebrałem Was pod
swoją komendę,
by walczyć do końca*

gen. Franciszek Kleeberg

Tego samego dnia, o godz. 11, przed Pałacem Jabłonowskich w Kocku gen. Kleeberg złożył honorową kapitulację na ręce gen. Wietersheima, dowódcy XIV Korpusu Pancernego. Polskim oficerom pozwolono na noszenie pistoletów z kaburami. Żołnierzom SGO „Polesie” już wcześniej zagwarantowano prawa jeńców wojennych. – *Kompania prezentuje broń. Generałowie podchodzą do siebie. Przedstawia się Niemiec: dowódca korpusu, Wietersheim, i mówi: „Podziwiam męstwo Polaków. Biliście się tak, jak tylko Niemcy bić się potrafią”. Dowódca SGO odpowiada: „Wykonaliśmy to, co do nas należało. Skończyła się amunicja, przestaliśmy walczyć” – zapamię-*



tał świadek tych smutnych, choć do-
niosłych chwil, mjr Tadeusz Grzesz-
kiewicz.

Ostatni żołnierze wojny obronnej
składali broń w trzech punktach: Woli
Gułowskiej, dworze Gulów i Woli Bu-
rzeckiej. W ręce Niemców dostało się
10,2 tys. sztuk broni strzeleckiej, 205
ckm-ów, 20 dział, 5 tys. koni, 226 za-
pręgów konnych i 54 samochody.
Resztę sprzętu i uzbrojenia zdołano
wcześniej zniszczyć lub ukryć. – Kiedy
tak szliśmy przez Wole Gułowską, po
obu stronach drogi stało mnóstwo
ludzi. Mężczyźni patrzyli na nas jakoś
obojętnie. Dzieci bardzo ciekawie,
a kobiety chyba wszystkie płakały.
Żołnierze rozdawali z wozów zapasy
cukru, kawy w kostkach oraz ręczniki
i koce. Poza wsią czekali na nas żoł-
nierze niemieccy, przyglądali się nam,
jakbyśmy przybyli z innego świata.
Niektórzy proponowali „na miga”, że-
by im oddać orzełek za garść papieros-
ów. Jakoś nie zauważyłem, żeby któ-
ry z naszych na to poszedł. Kiedy mi-
jaliśmy okopy niemieckie, obsługi
cekaemów leżały przy karabinach, go-
towe do akcji. Czyżby jeszcze się nas
obawiali? – pytał Stefan Ziemiński,

jeden z polskich żołnierzy maszerują-
cych do niewoli.

Widok kolumny kleeberczyków
idących przez Wole Gułowską utkwił
też w pamięci płk. Eplera: *Trupy nie-
mieckie, nieopgrzebane dotychczas
wskazywały, że ciężkie boje rozgry-
wały się tu przed godzinami. Żołnie-
rze szli przynębieni, z opuszczonymi
głowami, ale zdyscyplinowani, w zwar-
tych czwórkach. Przechodzili przed
dowódcą dywizji: patrzyli sobie w oczy
po raz ostatni. Patrzyli bez wstydu:
nic sobie nie mieli do zarzucenia.*

Według danych niemieckich pod
Kockiem wśród 16 860 polskich jeń-
ców wojennych znalazło się 1255 ofi-
cerów, w tym 4 generałów. Oprócz
gen. Kleeberga byli to: Zygmunt Pod-
horski, Ludwik Kmicic-Skrzyński
i Czesław Młot-Fijałkowski.

Bił Niemców i bolszewików

Podczas wojny obronnej 1939 roku
potwierdziły się słowa gen. Sosnow-
skiego, który dwie dekady wcześniej
tak scharakteryzował przyszłego bo-
hatera spod Kocka: *Zdolny, pracow-
ity i sumienny oficer. Posiada duże
wykształcenie teoretyczne.*

Generał Kleeberg zdał egzamin
z żołnierskiej postawy. Zorganizował
i dowodził improwizowanym zgrupo-
waniem, które skutecznie przeciwsta-
wiało się pancernym i zmotoryzowa-
nym oddziałom wroga. Nie szafował
bezmiełnie krwią podkomendnych.
Działal na własnych warunkach – na
przekór wszystkiemu. Historia przy-
znała mu rację.

W specjalnym rozkazie wydanym
po jego śmierci w niemieckiej niewoli
(5 kwietnia 1941 roku) Naczelny Wódz
gen. Władysław Sikorski napisał: *Po-
mimo przewagi druzgocącej wroga
Generał Kleeberg bił się do ostatnie-
go naboju i do ostatniego pocisku. Tę
jego wolę niezłomną, umiłowanie sła-
wy i honoru żołnierskiego uszanowa-
li nawet wrogowie. Pozostanie ona na
zawsze dla nas wzorem, jak wypeł-
niać mamy swój twardy obowiązek
żołnierski.*

W podobnym tonie o zmarłym bo-
haterze pisał płk Epler: *Był wodzem:
postawił sobie cel, dążył do niego, do-
wodził, szedł ze swymi oddziałami za-
wsze do walki, nigdy od niej, albo
mimo niej, nie odszedł od swych od-
działów, nie rzucił ich, chociaż mógł
to uczynić choćby w ostatniej chwili,
gdy wojska mu szeroką drogę do wol-
ności otworzyły. (...) Małymi literami
pisał wielkie słowa: zawsze zwycię-
stwo – ani jednej bitwy przegranej.
Bił Niemców i bolszewików. Poszedł do
niewoli i umarł jako zwycięski Wódz:
czy wielu miało takie szczęście?*

Gdy 5 października pod Kockiem
rozgrywały się ostatnie sceny drama-
tu wojny obronnej 1939 roku, w za-
jętej tygodnie wcześniej przez Niem-
ców Warszawie Adolf Hitler odbierał
defiladę zwycięskiego Wehrmachtu.
Finał walczącej epopei i początek
krwawej okupacji były na wskroś
symboliczne. ■



FOT. ARCHIWUM RODZINNE MARIUSZA MASZKIEWICZA



Mariusz Maszkiewicz
FOT. WWW.GOV.PL

Wołyń. Historia, która wraca...

Bez Ukraińców, Białorusinów i Litwinów nie byłibyśmy tym narodem, którym dziś jesteśmy. I oni również – bez Polaków – nie byłoby tymi narodami, którymi są obecnie – podkreśla Mariusz Maszkiewicz, autor książki-reportażu „Podarowana”, w której podejmuje próbę odtworzenia losów swojej matki. Podąża tropem przodków, wraca do miejsc związanych z ich życiem, odsłania bolesne wspomnienia, by odkryć własne przeznaczenie i prawdziwą tożsamość.

„Podarowana” to opowieść bardzo osobista, ale w jej tle rozbrzmiewa mocno temat pamięci i tożsamości. Z jednej strony pojawiają się relacje polsko-ukraińskie, kwestia Wołynia, ale też szerzej – relacje międzyludzkie na Kresach, później w realiach PRL-u. Na początku napisał Pan, że pisanie o matce było zadaniem niebezpiecznym. Skąd to poczucie zagrożenia?

Zagrożenie wynikało przede wszystkim z tego, że kiedy człowiek wychodzi z czymś bardzo intymnym na zewnątrz, łatwo zostać wrzuconym do jednego worka z osobami, które obnoszą się ze swoim życiem prywatnym. Stąd właśnie to poczucie niebezpieczeństwa – że ktoś potraktuje tę książkę jako rodzaj ekshibicjonizmu, a nie próbę głębszego świadectwa.

Czułem się z tym niekomfortowo, bo to nie jest temat, który ot tak można wystawić na widok publiczny. Ale nosiłem w sobie tę historię przez wiele lat. W końcu – jeszcze na długo przed wydaniem – przeczytało ją kilkanaście osób, które przekonały mnie, że warto ją pokazać światu – że to coś więcej niż osobista opowieść, że ma ona sens uniwersalny.

Dodam też, że książka ukazała się na początku września w znakomitym wydawnictwie „Karta”.

Jeśli chodzi o „Kartę”, to jestem z nią związany jeszcze od czasów, gdy działała w podziemiu. Publikowałem tam już wtedy. Zbigniew Gluza, jego założyciel, nigdy nie był zawodowym historykiem, lecz inżynierem, który nie znosił fałszywej historii PRL-u. Z tego sprzeciwu zrodziła się filozofia „Karty” – przedstawianie historii zawsze z perspektywy jednostki, ludzkiego doświadczenia, a nie wielkich nar-



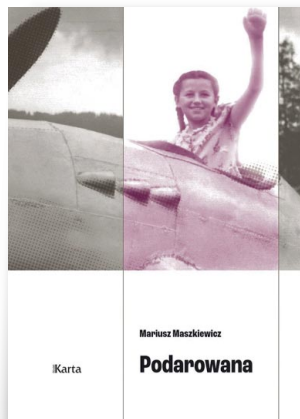
racji. Dlatego właśnie uznałem, że w „Podarowanej” opowiem historię mojej matki – nie dlatego, że to moja matka, ale dlatego, że jej los jest częścią szerszego doświadczenia pokolenia ludzi z Kresów. To opowieść o Polakach, ale też o historii Ukrainy czy Litwy – o wspólnym skomplikowanym dziedzictwie, które wciąż domaga się zrozumienia.

W książce powraca wątek Kresów – przestrzeni, w której splatają się losy Polaków, Litwinów, Ukraińców. Co sprawiło, że postanowił Pan wrócić do tej historii i opowiedzieć ją właśnie teraz – po latach milczenia?

Uznałem, że te kresowe losy warte są opowiedzenia właśnie z perspektywy historii rodziny mojej mamy, rodziny

Pepolów, która w istocie była rodziną polsko-litewską, pograniczną, zrośniętą z losem Europy Wschodniej.

Zresztą, częściowo już wcześniej o tym opowiadałem, mianowicie w wywiadzie rzece z Vytautasem Landsbergisem, wydanej w Polsce w latach 2011-2012, a po litewsku w 2013 roku. To był długi wywiad – rozmowa byłego polskiego dyplomaty w Wilnie, czyli mnie jako chargé d'affaires i szefa nowo otwieranej placówki dyplomatycznej w niepodległej Litwie, z ówczesną głową państwa.



Danusia Pepol (matka autora), zdjęcie z dzieciństwa wykorzystane zostało na okładce książki „Podarowana”. Obok, Danusia w 1959 r.
FOT. ARCHIWUM RODZINNE MARIUSZA MASZKIEWICZA

Już wtedy wspominałem pewien epizod, który we mnie został na długo. W 1993 roku odwiedził mnie w Wilnie mój wujek. Postanowił, że spróbuje odnaleźć na Litwie rodzinę, o której przez dziesięciolecia nic nie wiedział. W czasach Związku Sowieckiego takie poszukiwania były właściwie niemożliwe – kontakt między ludźmi po obu stronach granicy po prostu się urwał. Wujek wziął więc litewską książkę telefoniczną i zaczął szukać po nazwisku. Trafił na Pepolów. Zadzwoił, pojechał, został u nich przez tydzień. Rozmawiali, porównywali wspomnienia, wymieniali historie o przodkach. I w pewnym momencie padło pytanie: „To Ty jesteś Polakiem?”, a on im odpowiedział: „To wy jesteście Litwinami?”. To spotkanie stało się dla

mnie symbolem całej tej pogmatwanej tożsamości, w której przez dziesięciolecia granice państw i ideologii odcinały ludzi od ich korzeni. Dlatego historia mojej mamy jest w gruncie rzeczy opowieścią uniwersalną.

W „Podarowanej” powraca również temat Wołynia – nie tylko jako historycznego faktu, lecz jako doświadczenia moralnego, które wciąż domaga się zrozumienia. Jak Pan dziś patrzy na tamte wydarzenia? Czy próbował Pan w książce zrozumieć źródła tego zła – jego społeczne, historyczne, może psychologiczne mechanizmy?

Tak, chciałem spojrzeć na Wołyn w szerszym kontekście. Przeszedłem w książce przez różne tragedie, które tam się rozegrały – nie tylko przez rzeź wołyńską, czyli ludobójstwo dokonane na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów, ale również przez zbrodnie wobec ludności żydowskiej, przez całe to uwikłanie w obce wpływy – sowieckie, niemieckie, polityczne intrygi z zewnątrz. Starałem się też pokazać sam nacjonalizm jako zjawisko i to, co można by nazwać buntem ludności autochtonicznej wobec tych, którzy reprezentowali wyższą kulturę, inne wzorce cywilizacyjne.

Muszę też przyznać, że pozostaję pod silnym wpływem książki Zofii Kossak-Szczuckiej „Pożoga”. Opisuje ona wydarzenia z lat 1917–1919, a więc wcześniejsze, a jednak te same sceny, które później świadkowie Wołynia opisywali z roku 1943, pojawiają się tam niemal identycznie. Warto przypomnieć, że „Pożoga” rozeszła się w przedwojennej Polsce w ogromnym, milionowym nakładzie – czytali ją wszyscy. To był nie tylko opis dramatów kresowych, ale i pewien uniwersalny obraz buntu ludu przeciwko tym, którzy byli lepiej usytuowani; ostrzeżenie, że przemoc społeczna powraca, jeśli nie zostanie zrozumiana.

Dlatego na tragedię Wołynia patrzę w trochę szerszym wymiarze – nie

tylko przez pryzmat mojej mamy, mojej rodziny, ale całego pokolenia, które przez tę gehennę przeszło. Bo to nie jest tylko historia o narodowej nienawiści, lecz także o głębszym pęknięciu w ludzkiej naturze i o tym, jak kruche bywa to, co nazywamy kulturą.

W „Podarowanej” opisuje Pan Kresy jeszcze sprzed wojny jako miejsce, w którym – przynajmniej w Sarnach – nie było jeszcze otwartych konfliktów. Relacje polsko-żydowskie i polsko-ukraińskie układały się poprawnie, ludzie żyli obok siebie. Dopiero wojna stała się detonatorem – uruchomiła najgorsze emocje i instynkty. Latem 1943 roku, w czasie największej fali zbrodni wołyńskiej, pojawia się Pana mama – mała dziewczynka, która prawdopodobnie ocalała z rzezi. Jak wyglądało odtwarzanie tej historii?

W dużej mierze pomogła mi w tym niezwykła skrupulatność moich wujków – braci mojej mamy: Włodka i Zbyszka. Sporo zawdzięczam też synowi Włodka, Jerzemu, który wciąż żyje. Urodził się już po wojnie, ale pamiętał moją mamę z jednego domu, z jednego podwórka. Bawili się razem – była dla niego ciocią, choć dzieliło ich zaledwie osiem lat. To oni pomogli mi wszystko odtworzyć. W ich pamięci zachowało się wiele szczegółów, a obaj wujkowie zostali zresztą uwzględnieni jako świadkowie w monumentalnym dziele Ewy i Władysława Siemaszków o zbrodni wołyńskiej.

Jeśli chodzi o żydowskie Sarny – tam musiałem już wykonać własną pracę. Sięgnąłem do relacji świadków, tych, którzy przeżyli tamtą gehennę. Na ich tle próbowałem zrekonstruować realny obraz miasta i wpisać go w szerszy kontekst historyczny. Przed wojną Sarny były podzielone – z jednej strony kolejarzy, z drugiej Żydzi. Dwie wspólnoty żyły obok siebie, rzadko się spotykały, ale też nie było otwartej wrogości. Po prostu nikt nie miał w tym interesu.

Nie twierdzę, że w szerszym wymiarze w Polsce nie istniały napięcia – przecież było getto ławkowe – ale w mojej rodzinie, w pamięci Pepolów, nie zachowały się ślady takich antagonizmów. I myślę, że to też o czymś świadczy. Bo gdyby naprawdę między ludźmi panowała nienawiść, pamięć o niej by nie zniknęła.

Opisuje Pan również zjawisko osadnictwa wojskowego na Kresach. To temat, który w polskiej pamięci funkcjonuje raczej neutralnie – jako gest wdzięczności wobec żołnierzy Legionów i Wojska Polskiego – ale z perspektywy miejscowej ludności ukraińskiej wyglądał zupełnie inaczej.

Tak, to był bardzo ważny element tamtej rzeczywistości. Pisałem o polskim osadnictwie wojskowym, bo właśnie ono wzbudzało wśród chłopów – zwłaszcza ukraińskich – największy lęk. Lęk, że ktoś z zewnątrz przyjdzie i odbierze im ziemię. Dla wielu z nich Polacy stali się więc symbolem zagrożenia. I ten lęk, ta niechęć, musiały się gdzieś kumulować. Z kolei dla wielu Polaków Kresy stały się ziemią obiecaną, a idee osadnictwa władze II RP wprowadzały tam szczególnie hojnie. Nieużytki, ugory, niezagospodarowane pola rozdzielano między byłych żołnierzy. Istnieją szczegółowe opracowania naukowe na ten temat – dotarłem do nich, analizowałem, jak to wyglądało w liczbach: ile hektarów, ilu osadników, które miejscowości objęto parcelacją. Dla miejscowej ludności ukraińskiej musiało to być bardzo trudne do zaakceptowania – nagle wokół nich pojawili się nowi ludzie, często z innego świata, z inną mentalnością i statusem.

Warto też pamiętać, że w czasie wojny ten brak wspólnoty odcisnął swoje piętno. Armia Krajowa na Wołyniu była bardzo słaba, czasem wręcz nieobecna. Dlaczego? Bo nie miała oparcia w ludności miejscowej. Wiś, która mogła karmić i wspierać party-

zantów, była ukraińska – i karmiła ukraińskich nacjonalistów. To pokazuje, że te pęknięcia społeczne, które powstały jeszcze w okresie międzywojennym, w czasie wojny przekształciły się w przepaść.

W książce pojawia się również wątek „Tarasa Bulby” – postaci, która w polskiej pamięci często funkcjonuje jednoznacznie negatywnie, jako symbol ukraińskiego nacjonalizmu. Pan pokazuje go w nieco innym świetle, bardziej złożonym, historycznie i moralnie nieoczywistym.

Próbowałem zbadać wątek tzw. bulbowców, bo we wspomnieniach mojej mamy to właśnie oni pojawiali się jako najczarniejszy krąg piekła. Ale kiedy zacząłem czytać opracowania historyczne, okazało się, że rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Taras Bulba, czyli Taras Borowець, miał żonę Polkę. Mało tego – w 1935 roku to właśnie on przywiózł z Wołynia do Warszawy granitowy głaz, z którego wykonano płytę mauzoleum Piłsudskiego na wileńskiej Rossie. Był właścicielem zakładu kamieniarskiego i z tego głazu powstała płyta z napisem „Matka i serce syna”.

Ten fakt poruszył mnie, bo pokazuje, jak bardzo poplątane są nasze wschodnie losy. Historia Polski z Litwinami, Białorusinami, Ukraińcami na Kresach nie daje się opisać prostą linią ani w czarno-białych barwach. Obok zbrodni były też gesty współpracy i dobra – i to trzeba widzieć, jeśli chcemy naprawdę zrozumieć tamten świat.

Nie przejąłem po matce nienawiści do Ukraińców. Wręcz przeciwnie – mam do nich stosunek empatyczny, bardziej skłonny dostrzegać dobro niż zło. Przez wiele lat pracowałem na Białorusi i Litwie, a z Ukrainą także łączyły mnie różne projekty i misje dyplomatyczne. Znam wielu Ukraińców, bywałem wśród nich, rozmawiałem. I patrzę na nich jako na narody nam

najbliższe – współtworzące nasze historyczne i kulturowe dziedzictwo. Bo prawda jest taka, że bez Ukraińców, Białorusinów i Litwinów nie byłibyśmy tym narodem, którym jesteśmy. I oni również – bez Polaków – nie byłiby tymi narodami, którymi są dziś.

W „Podarowanej” pisze Pan nie tylko o historii rodzinnej, lecz także o tym, jak pamięć o Wołyniu funkcjonowała później – w PRL-u, w oficjalnym przekazie państwowym. Wspomina Pan, że mīt Wołynia stał się w pewnym sensie narzędziem politycznym.

sadniało istnienie nowego porządku i potrzebę bliskości z Moskwą. Bo jak wytłumaczyć społeczeństwu, że po wojnie przez lata walczono z AK, z Narodowymi Siłami Zbrojnymi, z całym podziemiem niepodległościowym? Władze wrzucały wszystko do jednego worka – mówiono o „nacionalistach”, o „bandach”, i zestawiano ich z ukraińskimi nacionalistami z UPA.

Taki zabieg był politycznie wygodny. Pokazywano, że tylko Armia Czerwona i Moskwa są gwarantem bezpieczeństwa – że to one chronią Po-

stała uratowana z transportu albo z getta przez polską rodzinę. Ta myśl wzięła się z rozmowy z moim wujkiem, który pod koniec życia powiedział mi, że mama miała na imię Hana. To wystarczyło, żeby zacząć się zastanawiać, kim naprawdę była. Pytałem o tę hipotezę Ewę Siemaszko, znawczynię tematu Wołynia. Odpowiedziała jednoznacznie: „Nie, to niemożliwe”. Wskazywała, że na tych terenach już w 1942 roku doszło do masowej eksterminacji Żydów – więc gdyby mama była żydowskim dzieckiem, raczej nie miałaby szansy przeżyć. Być może jednak wujek coś kiedyś zasłyszał, może imię Hana rzeczywiście w rodzinie pobrzmiwało i stąd jego przekonanie.

Później zrobiłem testy DNA – nie wykazały żydowskiego pochodzenia. I wtedy zrozumiałem, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Uznałem, że ciekawsze, głębsze będzie opisanie właśnie tego niedopowiedzenia, tej niewiedzy, tego braku. Bo przecież to, czego nie wiemy, też nas kształtuje. Powtórzę: dla mnie ta historia ma wymiar uniwersalny. To opowieść o Kresach, o dzieciach, które straciły wszystko – rodzinę, dom, a często także imię i tożsamość. Pokazuje, jak wojna potrafi odebrać człowiekowi nie tylko życie, ale i korzenie.

A później, gdy w 2022 roku wybuchła rosyjska agresja na Ukrainę, ten temat wrócił z ogromną siłą. Poczuliśmy, że musimy dokończyć książkę. Bo ta nowa wojna uświadomiła mi, jak wiele ludzkich historii zostanie znów złamanych – jak wiele dzieci znów straci dom, poczucie bezpieczeństwa, a może i pamięć o własnym pochodzeniu. Wojna nigdy nie kończy się w dniu podpisania rozejmu. Nie kończy się defiladą zwycięstwa ani datą w podręczniku. Wojna łamie ludzi – łamie kości, sumienia, psychikę – a jej skutki trwają w następnych pokoleniach. I właśnie o tym jest ta książka.

Rozmawiał Norbert Nowotnik



Dawny dom rodziny Pepółów w Sarnach, 2000 r. FOT. ARCHIWUM RODZINNE MARIUSZA MASZKIEWICZA

W mojej rodzinie – w domu Pepółów – panował zawsze bardzo spokojny, rozumiejący stosunek do Kresów. Babcia Natalia, moi wujkowie – oni wiedzieli o tragediach, o zbrodniach, ale nigdy nie było tam nienawiści. Nie pamiętam żadnych gwałtownych emocji. Raczej refleksję, współczucie, próbę zrozumienia. Babcia była cudowną osobą, pełną ciepła – i to ona w dużej mierze nadała ton temu sposobowi myślenia.

Dzięki wujkom dowiedziałem się też, że w PRL-u temat Wołynia był wykorzystywany politycznie. Dla władz ludobójstwo wołyńskie stało się w pewnym sensie mitem założycielskim. Uza-

laków przed „ukraińskim nacjonalizmem”, przed „złem z południowego wschodu”. I ten schemat funkcjonował przez całe dekady, właściwie aż do lat osiemdziesiątych. W ten sposób pamięć o Wołyniu została wypaczona – przestała być prawdziwą refleksją nad tragedią, a stała się instrumentem propagandy.

W „Podarowanej” pojawia się również hipoteza, że Pana matka mogła być dzieckiem żydowskim, uratowanym podczas wojny przez polską rodzinę.

Przez wiele lat byłem przekonany, że moja mama była Żydówką, która zo-



Ostatnia droga ks. Popiełuszki

TEKST | Grzegorz Majchrzak

Pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki w listopadzie 1984 roku był wydarzeniem niezwykłym. I nie ma w tym nic dziwnego, gdyż warszawski kapłan należał w latach 80. nie tylko do najbardziej znanych księży w Polsce, ale wręcz do najbardziej rozpoznawalnych osób. Odprawiane przez niego msze za Ojczyznę w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu gromadziły tłumy i wywoływały wściekłość władz PRL.

Wspominał o nich nawet rzecznik prasowy rządu i główny kreator propagandy Jerzy Urban, który podczas swoich słynnych wtorkowych konferencji prasowych określił je mianem „seansów nienawiści”. Zaangażowanie jednego z kapelanów Solidarności ściągało na ks. Jerzego poważne kłopoty – od inwigilacji i represji ze strony Służby Bezpieczeństwa, po aresztowanie w wyniku esbeckiej prowokacji i próby postawienia przed sądem za rzekome nadużywanie wolności sumienia. Wreszcie, 19 października 1984 roku, został porwany przez trzech funkcjonariuszy SB, brutalnie torturowany, a następnie wrzucony do Wisły z zapory we Włocławku. Jego ciało – oficjalnie – odnaleziono dopiero 30 października.

Pogrzeb, który śledzili wszyscy

Od początku nie ulegało wątpliwości, że pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki – ze względu na jego popularność i okoliczności śmierci – będzie wydarzeniem wyjątkowym, śledzonym nie tylko w kraju, ale również za granicą. I rzeczywiście tak się stało – bacznie obserwowali go Polacy, korespondenci zagraniczni oraz władze PRL, w tym koledzy porywaczy i najprawdopodobniej zabójców kapłana: Grzegorza Piotrowskiego, Waldemara Chmielewskiego i Leszka Pękali ze Służby Bezpieczeństwa. Nic więc dziwnego, że dysponujemy bogatą dokumentacją – od relacji prasowych, poprzez tajne raporty SB, aż po nagrania, zdjęcia i filmy – obejmującą nie tylko same uroczystości pogrzebowe, lecz także przewóz ciała zamordowanego kapłana z Zakładu Medycyny Sądowej w Białymstoku, gdzie wykonano sekcję zwłok, do Warszawy, gdzie spoczął. Mimo rozbieżności w szacunkach liczby uczestników pogrzebu – od około 100 tys. według SB, po nawet milion według niektórych brytyjskich

dziennikarzy – wszystkie te świadectwa stanowią dziś niezwykle cenny zapis tamtego smutnego wydarzenia.

Zobaczcie wasze dzieło, zobaczcie coście uczynili

Jak to opisywano na łamach podziemnego pisma „Kos”: Ostatnia droga ks. Popiełuszki rozpoczęła się 2 listopada 1984 roku w Białymstoku, gdy wiozący jego ciało orszak 10 samochodów opuścił Instytut Medycyny Sądowej. Przed Instytutem ksiądz Popiełuszko żegnał kilkutyśięczny tłum. Wznoszono okrzyki na cześć Solidarności. I dalej: Tymczasem w Warszawie na ulicach i przed kościołem św. Stanisława Kostki czekały tłumy oceniane na 20-40 tysięcy osób. Kiedy wieczorem nadjechał orszak żałobny, robotnicy Huty Warszawa zdjęli trumnę z samochodu i ponieśli ją na ramionach w szpalierze oświetlonym płomieniami świec. Wokół było widać las wzniesionych rąk, słychać było płacz i szloch (...) Trumnę złożono na białym katafalku ustawionym przed głównym ołtarzem.

Z kolei – jak informowało MSW – „Jezdnia przed kościołem wyłożona została kwiatami, a na jej obrzeżach zapalono tysiące zniczy”. Przy Rakowieckiej oceniano, że w żoliborskim kościele i jego okolicy zgromadziło się 12 tys. osób. Natomiast korespondent brytyjskiego BBC Kevin Ruane relacjonował: *Przy samym kościele, gdzie wykopano w ciągu dnia grób, w który ma być złożone ciało księdza Popiełuszki – świece, kwiaty i transparenty. Trumna przybyła około 18.30. Przed nią jechał samochód, którym przybyła rodzina zmarłego: rodzice, bracia i siostra. Gdy niesiono powoli trumnę przez plac przed kościołem, zebrane tłumy odśpiewały „Boże coś Polskę” z rękoma wzniesionymi w znaku zwycięstwa. Wielu śpiewało płacząc. Tego dnia zostało również odprawione nabożeństwo żałobne w intencji zamordowanego kapłana,*

w trakcie którego ks. Feliks Folejewski mówił – m.in. zwracając się do jego morderców czy szerzej peerelowskich władz, w tym personalnie Urbana: „Zobaczcie wasze dzieło, zobaczcie coście uczynili”.

Solidarność żegna swojego kapłana

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się następnego dnia – 3 listopada – o godzinie 11, od mszy św. w kościele św. Stanisława Kostki. Zgromadziły

legacje z całej Polski, od świtu idą na Żoliborz grupy z wieńcami i transparentami. Na Placu Wilsona panuje ruch, jak w ciągu dnia. Na skwerku u wylotu ul. Krasińskiego płoną znicze ułożone w kształcie krzyża zakończonego literą V. W podziemiach kościoła (...) mnóstwo ludzi: porządkowi, studenci, plastycy, którzy całą noc przygotowywali transparenty i tablice informacyjne. Sporo przyjezdnych, m.in. taksówkarze z Białogostoku, którzy konduktem taksówek



one wielotysięczne tłumy, których liczebność trudno dziś precyzyjnie oszacować. Według danych MSW już pięć godzin przed rozpoczęciem nabożeństwa zebrało się około 15 tys. osób – mimo wysiłków władz zmierzających do ograniczenia frekwencji. Próbowano temu przeciwdziałać m.in. poprzez blokowanie lub ograniczanie zorganizowanych wyjazdów do Warszawy, drobiazgowe kontrole samochodów i podróży zmierzających na uroczystości, a także wprowadzenie w sobotę „normalnych” zajęć szkolnych pod groźbą surowych konsekwencji za nieobecność. Z czasem jednak liczba uczestników systematycznie rosła.

Jak relacjonowano potem w „Tygodniku Mazowsze”: *Przyjeżdżają de-*

uroczyście odprowadzali do granic miasta samochód ze zwłokami ks. Popiełuszki, a teraz przyjechali do Warszawy nocnym pociągiem. I dodawano: Wejściem od ul. Hozjusza wpuszczani są przedstawiciele zakładów pracy i środowisk z całego kraju. Po przejściu przez bramkę podchodzą do stolika, gdzie porządkowy sporządza listę. Wszyscy zaznaczają dobitnie, że reprezentują „Solidarność” swego miasta, zakładu, instytucji, środowiska.

Ludzie na ulicach, balkonach, dachach i drzewach...

W efekcie, na kilkanaście minut przed rozpoczęciem uroczystości, w ocenie funkcjonariuszy SB „w okolicy” żoliborskiej świątyni znajdowało się już około 100 tys. osób, podczas gdy we-

dług dziennikarzy zachodnich liczba ta mogła wynosić co najmniej kilkaset tysięcy. Barwnie, choć zgodnie z faktami, opisywał to „Tygodnik Mazowsze”: *Przed 11-tą ludzie stoją już we wszystkich ulicach wokół kościoła św. Stanisława Kostki – morze głów na pl. Wilsona, w Zaulku, na Felińskiego, Niegolewskiego, Hozjusza, Kosaka, na Krasińskiego aż po Suzina, Filarecką, Toeplitza. Tłoczą się na okolicznych dach i balkonach.*

Tak na marginesie opis ten jest niepełny, gdyż niektórzy obserwatorzy pogrzebu zajęli miejsca również na okolicznych drzewach. Jak z kolei relacjonował „kos”: *Ogrodenie kościoła tonie w kwiatach, wiszą na nim też transparenty – Solidarność z Białogostoku, Piekary Śląskich, Piotrkowa Trybunalskiego, Starachowic i wielu innych. Natomiast czujni funkcjonariusze SB informowali: Widoczne były grupy w strojach góralskich, krakowskich, mundurach górniczych, hutniczych, harcerskich.*

W ceremonii pogrzebowej wziął udział m.in. prymas Polski Józef Glemp, liczni biskupi i duchowni, a także działacze opozycji, zwłaszcza podziemnej Solidarności (m.in. Bronisław Geremek, Seweryn Jaworski, Jacek Kuroń, Leszek Moczulski – lider Konfederacji Polski Niepodległej, Zbigniew Romaszewski czy Henryk Wujec). Jak potem posumowano na antenie Radia France Internationale: „Cała Polska złożyła (...) żarliwy hołd pamięci ks. Jerzego Popiełuszki”. Jednak nie tylko ona. Na pogrzebie obecni byli również – i to licznie – zachodni dyplomaci, m.in. chargé d'affaires ambasad Stanów Zjednoczonych i Francji czy ambasadorowie Belgii, Kanady, Szwecji oraz Wielkiej Brytanii. Oprócz nich na Żoliborzu licznie zgromadzili się zachodni dziennikarze, nie tylko zresztą stali korespondenci akredytowani w Polsce, ale również ich koledzy przebywający w PRL czasowo.

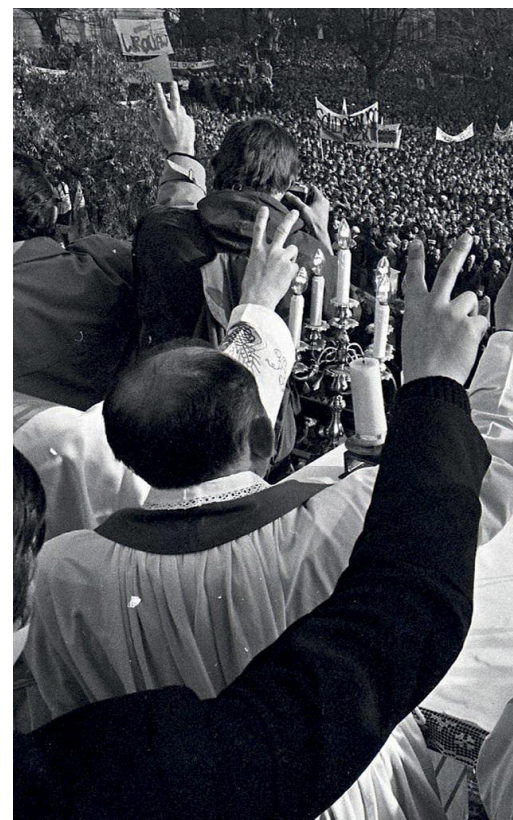
Odchodzisz, jako bohater narodowy, wchodząc do naszej historii

Mszę żałobną koncelebrowało dwunastu księży, a półgodzinne kazanie wygłosił prymas Józef Glemp, u którego zamordowany kapłan nie cieszył się szczególnymi względami. Stwierdzał on m.in., zresztą zdecydowanie nazbyt optymistycznie: *Wierzimy, że ofiara młodego księdza Jerzego, jego życia jest już ostatnią ofiarą na polskiej ziemi i że nikt już w naszej Ojczyźnie nie targnie się na życie drugiego człowieka tylko dlatego, że nie podoba mu się głoszona przez niego nauka.* Po zakończeniu mszy nad trumną przemawiali przyjaciele, a także znajomi warszawskiego kapłana oraz działacze opozycji, na czele z przywódcą Solidarności Lechem Wałęsą.

Jako pierwszy głos zabrał ks. Ryszard Rumianek, kolega Jerzego Popiełuszki z seminarium duchownego. Mówił: *Ty jeden spośród nas najlepiej rozumiałeś, co to znaczy pójść za Chrystusem, pójść aż do końca (...) Byłeś tak wierny i konsekwentny w służbie Bogu i Ojczyźnie (...) I teraz drogi nasz bracie odchodzisz od nas, ale odchodzisz, jako bohater narodowy, wchodząc do naszej historii.* Z kolei przewodniczący NSZZ „Solidarność” w Hucie „Warszawa”, z którą zamordowany kapłan był mocno związany, Karol Szadurski zwracał się do niego słowami: *Księżu Jerzy, słyszysz, tak biją dzwony wolności (...) Czuwaj z nami i nad nami. Twoja arka solidarności płynie dalej, wioząc nas coraz więcej.* Z kolei w imieniu świata nauki głos zabrał prezes – rozwiązanego w stanie wojennym – Związku Artystów Scen Polskich Andrzej Szczepkowski, który stwierdzał: *Ohydę tej nikczemnej zbrodni powiększa fakt, że ów współczesny Kain wyzuty jest nie tylko z wszelkich ludzkich uczuć, ale też z polskiej wyobraźni. Przeżarty kłamstwem i nienawiścią nie wie, że zadany skrytobójczo cios zapewni te-*

mu młodemu kapłanowi, nieustraszonemu kapłanowi wejście do triumfalnego grona polskich męczenników i wielkie za grobem zwycięstwo.

Przemawiali również przedstawiciele środowiska medycznego, z którym ksiądz Popiełuszko był związany (doktor Marian Jabłoński oraz pielęgniarka Elżbieta Morawska). Przypomnieli oni, że „ksiądz Jerzy walczył w obronie życia”, dodając, że „dar życia to najcenniejszy dar narodu”. Z kolei Wałęsa mówił: *Trudno w słowach oddać uczucie bólu i krzywdy, z jakim żegnamy dziś księdza Jerzego (...) Padł ksiądz Jerzy ofiarą fali przemocy i nienawiści, której przeciwstawiał zawsze dobro i prawdę. Deklarował: Nad trumną naszego brata przyrzekamy, że nigdy tej śmierci nie zapomnimy (...) Żegnamy Cię Sługo Boży przyrzekając, że nie ulękniemy się nigdy przed przemocą, że będziemy solidarni w służbie Ojczyźnie, że prawdą na kłamstwo, dobrem na zło będziemy odpowiadać. A swoje, krótkie przemówienie kończył słowami: „Solidarność*





Całonocne czuwanie w kościele św. Stanisława Kostki przy trumnie z ciałem ks. Jerzego Popiełuszki FOT. PAP

żyje, bo Ty oddałeś za nią Swoje życie”.

Wśród żegnających zamordowanego kapłana nie mogło oczywiście zabraknąć także proboszcza parafii św. Stanisława Kostki ks. Teofila Boguckiego. Stwierdził on, zresztą jak najbardziej słusznie, że: *Ziemia polska*

otrzymała nowego bohatera narodowego i nowego męczennika. Na taki pogrzeb z udziałem kardynała – prymasa, biskupów, nieprzeliczonej rzeszy wiernych zasługuje tylko człowiek wielki lub święty.

Księdza żegnali również dzwony

Sam pogrzeb – głównie z udziałem najbliższej rodziny oraz księży – rozpoczął się około godz. 13, po procesji z trumną zamordowanego kapłana wokół kościoła, i trwał około pół godziny. Jak ponownie opisywał Ruane na antenie BBC: *Później rozdzwoniły się dzwony i trumna została spuszczone do grobu. Złożono ją na skraj placu przed kościołem w obecności prymasa Glempa, biskupów, Wałęsy i innych osób, stojących wśród transparentów z napisem Solidarność i lasu rąk wzniesionych w znaku zwycięstwa.* Po zakończeniu pogrzebu część zgromadzonych zaczęła się rozchodzić, inni postanowili poczekać na możliwość na możliwość przejścia

przed grobem zamordowanego księdza. Musieli na to zresztą poczekać co najmniej kilka godzin, gdyż pierwsze osoby mogły to uczynić dopiero ok. 17. Nie zniechęciło to jednak oczekujących i jak potem relacjonował „kos” przez wiele godzin tłumy „przesuwały się w skupieniu przed świeżą mogiłą, żegnając swego kapłana”.

Rzućcie pały – przebaczymy

Wbrew obawom władz PRL, uroczystości pogrzebowe przebiegły spokojnie, bez najmniejszego incydentu. Tak na marginesie – dziwnym trafem – po ich zakończeniu „odnalazły się” autobusy i tramwaje, które wcześniej omijały Żoliborz, a przynajmniej okolice kościoła św. Stanisława Kostki, gdzie odbywały się uroczystości. Wiele osób rozjechało się nimi do domów, ale nie wszyscy. Część uczestników pogrzebu przemaszewowała w różnych kierunkach w zorganizowanych grupach – według danych MSW liczących od 2 do 10 tys. osób – śpiewając pieśni kościelne i skandując hasła: „Chodźcie z nami”, „Rzućcie pały – przebaczymy”, „My chcemy Lecha, nie Wojciecha”, „Bujaka, nie Kiszcza”. W przypadku grup kierujących się w stronę centrum stolicy Milicja Obywatelska zastosowała działania zaporowe, w wyniku których – jak podkreślano, bez użycia „środków przymusu bezpośredniego” – udało się ostatecznie u zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej rozproszyć zgromadzonych na mniejsze grupy.

Na koniec pozwolę sobie na osobistą refleksję – tego dnia, podobnie jak podczas pielgrzymek Jana Pawła II w 1983 i 1987 roku, na kilka godzin stolica Polski stała się wolnym miastem. Miejsce, nad którym komunistów chwilowo utracili władzę. Niestety, tym razem nie z powodu radosnych, lecz bolesnych okoliczności. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



FOT. PAP

Echo „kamiennego piekła”

TEKST | Renata Paluch

Miejsca martyrologii z lat II wojny światowej to namacalne świadectwa bolesnej przeszłości. Powstałe na terenach byłych niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady muzea – Miejsca Pamięci – przybliżają i przypominają tamte wydarzenia. Pełnią rolę instytucji przechowujących i chroniących dziedzictwo ofiar totalitaryzmów, ludobójstwa i wojny. Gromadzi się w nich także niematerialne ślady epoki – doświadczenia i przeżycia ocalałych. Głosy przeszłości – wspomnienia świadków z granitowej otchłani – można usłyszeć w Rogoźnicy, dawnym Gross-Rosen. W tej niewielkiej wiosce na Przedgórzu Sudeckim, w paśmie Wzgórz Strzegomskich, działał w czasie wojny jeden z najcięższych obozów koncentracyjnych.

Jego początki sięgają 1940 roku, kiedy przedsiębiorstwo SS Deutsche Erd- und Steinwerke (DEST) przejęło miejscowy kamieniołom granitu. Walory wyrobiska były imponujące – zasoby szacowano na 5 mln m³, co pozwalało na eksploatację przez kolejne sto lat. W interesie ekono-

micznym spółki znajdowały się również kamieniołomy we Flossenbürgu i Mauthausen oraz cegielnie w pobliżu Sachsenhausen, Buchenwaldu i Neuengamme, w których do pracy przymuszano więźniów. Podobny mechanizm zastosowano w Gross-Rosen – osadzeni w tworzonym obozie mieli

stanowić rezerwuar darmowej siły roboczej przy wydobywaniu i obróbce kamienia. 2 sierpnia 1940 roku do Gross-Rosen przybył pierwszy transport więźniów z KL Sachsenhausen. Obejmował on stu mężczyzn: 98 Polaków i dwóch Niemców. W dwóch prowizorycznych barakach utworzo-



no obóz o oficjalnej nazwie Arbeitslager (AL) Gross-Rosen, podlegający komendanturze KL Sachsenhausen. Kierownikiem filii został sadystyczny sierżant SS Anton Thumann.

AL Gross-Rosen już od początku funkcjonowania nastawiony był na wyniszczanie więźniów katorżniczą pracą i głodowym wyżywieniem. Osadzeni umierali z wycieńczenia i chorób, tracili życie także wtedy, gdy uznano ich za „niezdolnych do pracy”. Brakującą siłę roboczą systematycznie uzupełniano nowymi transportami więźniów z Sachsenhausen i Buchenwaldu. Realizacja politycznych i gospodarczych planów SS przesądziła o przekształceniu AL Gross-Rosen

w samodzielny obóz koncentracyjny. Zmiana statusu nastąpiła 1 maja 1941 roku. W założeniu Konzentrationslager (KL) Gross-Rosen stał się karnym ośrodkiem odosobnienia II kate-

Osadzeni umierali z wycieńczenia i chorób, tracili życie także wtedy, gdy uznano ich za „niezdolnych do pracy”. Brakującą siłę roboczą systematycznie uzupełniano

gorii, przeznaczonym dla „ciężko obciążonych, lecz jeszcze zdolnych do wychowania i poprawy więźniów ochronnych”. Za drutami obozu przebywało wówczas 722 „skazanych”, pochodzących głównie z Niemiec, Polski i Czech.

Stanowisko pierwszego komendanta KL Gross-Rosen powierzono 43-letniemu podpułkownikowi SS Arthurowi Rödlowi. W kolejnych latach funkcję tę sprawowali kapitanowie SS Wilhelm Gideon i Johannes Hassebroeck. Załogę obozu stanowiła kompania licząca 120 SS-manów. Wśród zbrodniarzy znaleźli się także bezwzględni lekarze SS, m.in. Friedrich Entress, Karl Babor, Heinz Thilo i Josef Mengele.

Jesienią 1941 roku KL Gross-Rosen został włączony w realizację zbrodniczych działań eksterminacyjnych. Pierwszym ich celem stali się radzieccy jeńcy wojenni. Od października 1941 do kwietnia 1942 roku zamordowano w Gross-Rosen około 2500 żołnierzy przywiezionych ze stalagów Lamsdorf, Neuhammer, Fürstenberg i Wollstein. W marcu 1942 roku, w ramach akcji „14 f 13”, pod pretekstem „łaskawej śmierci”, wywieziono do

FOT. Z ZBIORÓW MUZEUM GROSS-ROSEN (2)



nazistowskiego ośrodka „eutanazji” w Bernburgu 127 konających więźniów – w większości mężczyzn poniżej 35. roku życia. Wszyscy zostali uśmierceni w komorze gazowej. W kolejnych miesiącach 1942 roku niemal 900 zniedołężniałych więźniów odesłano w tzw. transportach inwalidzkich do KL Dachau.

Następstwem akcji eksterminacyjnych i utrzymującej się w obozie wysokiej śmiertelności był stały niedobór siły roboczej w kamieniołomie. Do końca 1942 roku spółka DEST odnotowywała wyłącznie straty. Dopiero w styczniu 1943 roku, gdy liczba zatrudnionych więźniów osiągnęła tyśiąc, przedsiębiorstwo po raz pierwszy wykazało zysk. Granit z Gross-Rosen wykorzystano m.in. przy budowie mostu w Królewcu, gmachu opery i terenów wystawowych wokół Hali Stulecia we Wrocławiu oraz przy przebudowie zamku w Poznaniu. Do zasadniczej rozbudowy KL Gross-Rosen doszłów 1944 roku – wzniesiono wówczas nowe, większe baraki przeznaczone dla więźniów ewakuowanych z terenów wschodnich. Wśród transportów znaleźli się m.in. więźniowie z Majdanka, Płaszowa, Lwowa, Pawiaka i Montelupich.

W związku z dynamiczną sytuacją na froncie wschodnim i rosnącym niedoborem siły roboczej w niemieckim przemyśle zbrojeniowym, więźniów KL Gross-Rosen skierowano do pracy w zakładach produkujących broń i amunicję. W tym celu rozbudowano sieć 99 podobozów zlokalizowanych przy fabrykach zbrojeniowych oraz przy innych inwestycjach wojennych na Dolnym Śląsku. W 45 filiach, głównie w przemyśle tekstylnym, zatrudniano również kobiety pochodzenia żydowskiego – ich liczbę szacuje się na około 26 tys. Co najmniej 209 niemieckich przedsiębiorstw, w tym Siemens, Blaupunkt, Telefunken, IG Farben, AEG i wiele innych, wykorzystywało do niewolniczej pracy więź-

niów kompleksu Gross-Rosen. Na początku 1945 roku, w obliczu zbliżającej się ofensywy Armii Czerwonej, wydano decyzję o ewakuacji obozu. Zarządzono piesze i kolejowe transporty więźniów w głąb Trzeciej Rzeszy. Największą ich liczbę przejęły obozy koncentracyjne Mittelbau, Buchenwald i Flossenbürg. Komendantura KL Gross-Rosen przeniosła swoją siedzibę do Reichenau (Rychnov w Czechach), skąd zarządzała jeszcze czynnymi podobozami.

Kres istnienia obozu macierzystego nastąpił 13 lutego 1945 roku, gdy na jego opustoszały teren wkroczyli żołnierze Armii Czerwonej. W kompleksie Gross-Rosen więziono co najmniej 120 tysięcy osób z ponad 20 krajów. Największe grupy narodowościowe stanowili Żydzi, Polacy i obywatele Związku Radzieckiego. Liczbę ofiar szacuje się na około 40 tys. W 1944 roku w KL Gross-Rosen zginęli m.in. podporucznik piechoty Polskich Sił Zbrojnych i Armii Krajowej, cichociemny Jan Rostworowski oraz pierwszy naczelnik Szarych Szeregów, Florian Marciniak.



Kamieniołom, miejsce niewolniczej pracy więźniów KL Gross-Rosen FOT. Z E ZBIORÓW MUZEUM GROSS-ROSEN

*Smutek, żal – po gruzach chodzę,
Śmiercią budowany bruk.
Tu umarł chłopiec,
Tu umarł mężczyzna.
Tu umarło człowieczeństwo
Pozostał strach, smutek i ból.
Co czujesz idąc drogą,
Której kamienie ręką krwawą przy-
niesione?*

*Smutek, żal – łza słona,
Śmiercią splamiona ziemia.*

wiersz napisany w ramach muzealnych warsztatów literackich, autor: Kacper Rygalla

O godne upamiętnienie tysięcy ofiar „kamiennego piekła” przez długie powojenne lata zabiegali byli więźniowie KL Gross-Rosen. To oni stali się pierwszymi strażnikami pamięci, przyczyniając się do utworzenia w 1983 roku Państwowego Muzeum Gross-Rosen. Ich zaangażowanie w utrwalenie pamięci o tym miejscu jest dziś nie do przecenienia. Warto przypomnieć, że dopiero w marcu 1947 roku teren poobozowy został oficjalnie



przekazany władzom polskim. Przy-
stąpiono wówczas do dokumentowa-
nia niemieckich zbrodni, gromadze-
nia materiałów historycznych oraz
zabezpieczania ocalałych relikwów.
W tym samym roku powstał Komitet
Ochrony Gross-Rosen, odpowiedzial-
ny za materialne upamiętnienie ofiar
poprzez budowę Pomnika-Mauzo-
leum. Monument według projektu
architekta Adama Prockiego odsło-
nięto w 1953 roku.

W latach 50. opiekę merytoryczną
nad byłym obozem powierzono
Państwowemu Muzeum Auschwitz-
Birkenau. Zorganizowano wówczas
pierwszą monograficzną wystawę
w bramie głównej. W kolejnych la-
tach, w związku ze zmianami admi-
nistracyjnymi, pieczę nad Miejscem
Pamięci w Rogoźnicy sprawowały
Muzeum Historyczne we Wrocławiu
i Muzeum Okręgowe w Wałbrzychu.
Dopiero w kwietniu 1983 roku na mo-
cy rozporządzenia Ministra Kultury

Na początku 1945 roku,
w obliczu zbliżającej się
ofensywy Armii Czer-
wonej, wydano decyzję
o ewakuacji obozu.
Zarządzono piesze i ko-
lejowe transporty więź-
niów w głąb Trzeciej
Rzeszy

i Sztuki powołano Państwowe Muze-
um Gross-Rosen.

Od momentu ustanowienia do
chwili obecnej działalność rogoźnic-
kiego Miejsca Pamięci opiera się na
trzech merytorycznych filarach, tj.
zabezpieczeniu poobozowej materii
i gromadzeniu dokumentacji, opraco-
wywaniu i udostępnianiu wiedzy hi-

storycznej (publikacje naukowe, wy-
stawy) oraz szeroko pojętej edukacji –
„pedagogice pamięci”. Tej ostatniej
przypisuje się szczególną rolę w obli-
czu współczesnych konfliktów i od-
chodzenia pokolenia świadków.

Na ten problem zwrócił uwagę
w 2003 roku były więzień KL Gross-
Rosen Stanisław Głąbiński: *Za dwa-
dzieścia, trzydzieści lat, najdalej około
połowy pierwszego stulecia, o kace-
tach zacznie się w ogóle zapominać.
Przestaną budzić emocje, stanowić
ostrzeżenie i służyć za materiał do
wyciągania wniosków, ukazujący do
jakiego zła, okrucieństwa i małości
może posunąć się człowiek. Stanie się
tak dlatego, że nastąpi to, co stale,
ustawicznie, od tysięcy lat następuje
w historii ludzkości: nadejdą inne wy-
darzenia, które przesłonią dramat
Gross-Rosen, Oświęcimia i tylu in-
nych obozów.*

Stanisław Głąbiński, Przystanek Gross-Rosen,
Warszawa 2003

Tymczasem Muzeum Gross-Rosen
nie tylko ukazuje historyczne fakty,
lecz także kształtuje postawy moralne
i etyczne. Buduje świadomość odpor-
ną na manipulację i zapomnienie, sta-
jąc się miejscem dialogu i refleksji,
które łączy przeszłość z przyszłością.
Kluczową rolę w tej misji odgrywa
oferta edukacyjna skierowana do mło-
dego pokolenia. Choć kontakt z relik-
tami obozowymi stanowi trudne i po-
ruszające doświadczenie, pozwala ono
głębiej zrozumieć konsekwencje nie-
nawiści, rasizmu i przemocy, a zara-
zem docenić znaczenie praw człowie-
ka oraz wartości demokratycznych.
Pielęgnowanie pamięci o ofiarach
II wojny światowej i przekazywanie
tej pamięci kolejnym pokoleniom to
podstawowe zadania Muzeum Gross-
Rosen. Bez ich realizacji budowanie
lepszego przyszłości nie byłoby możliwe. ■

Renata Paluch jest Kierownikiem Działu
Oświatowego Muzeum Gross-Rosen



Henryk Sikora
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Nigdy nie żałowałem

„Zaangażowanie się w Solidarność było moim najlepszym życiowym doświadczeniem. Nigdy, nawet siedząc w więzieniu nie żałowałem ani jednego dnia z tej działalności” – powiedział Henryk Sikora, działacz opozycji antykomunistycznej, współzałożyciel i szef Biura Informacyjnego NSZZ Solidarność w Australii oraz Australijskiego Funduszu Solidarności z Polską.

Dlaczego Solidarność?

Wówczas w 1980 roku nie było alternatywy (śmiech)...

Dla mnie zawsze autorytetem był mój ojciec – zagorzały przeciwnik komunizmu. W czasach stalinowskich pracował na kopalni, opuścił dwie niedziele z rządu i za ten „sabotaż” wsadzili go na pół roku do więzienia. Popieranie komunistów, zapisywanie się do PZPR było po prostu wykluczone.

Oczywiście były różne „okazje”. Jak wtedy, gdy pracowałem jako ratownik górniczy, gdzie w stacji na 35

ratowników jedynie dwóch, może trzech nie należało do partii. By zostać zawodowym ratownikiem w zasadzie trzeba było należeć do partii. Pewnego razu kierownik mi to zaproponował. Powiedziałem wtedy, że to niemożliwe, bo tata wygna mnie z domu. Więcej nie namawiał.

Jak wyglądały pierwsze dni strajku w Pana kopalni?

W PRL były trzy potężne zakłady im. Lenina – stocznia, huta i kopalnia „Lenin” w Mysłowicach-Wesołej. Jak wia-

domo w sierpniu 1980 roku pierwsza ruszyła stocznia, pod koniec miesiąca dołączyła huta. 31 sierpnia miałem nocną zmianę i przed pracą oglądałem podpisanie porozumień. Ze wzruszenia pociekły mi wtedy łzy. Było mi wstyd, że moja kopalnia ciągle fedruje. Pomyślałem, że muszę uratować honor – kopalni i swój. Podjąłem więc decyzję o zorganizowaniu strajku. Podczas drogi do pracy zastanawiałem się jak to zrobić, nawet zanotowałem sobie wstępne postulaty, ale na dobrą sprawę nie do końca wiedzia-

◀ Uhonorowanie Henryka Sikory Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, nadanym przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego w grudniu 2009 r. Odznaczenie wręczył prezydent Bronisław Komorowski
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

łem jak zacząć. Nie miałem planu. Kiedy wszedłem do górniczej szatni krzyknąłem po prostu – „chłopy, strajk!” i tak się zaczęło.

Jakby było oczekiwanie, że ktoś wykona ten pierwszy krok

Wydaje się, że tak. Trzeba jednak powiedzieć, że bardzo nas wtedy pilnowali. Zawsze jak kilku górników gdzieś się zatrzymało, to zaraz pojawiali się ci z dozoru i kazali się rozejść. Z szatni ruszyliśmy do cechowni, dużej kopalnianej sali zbornej. Tam na środku stał ring bokserski – kopal-

nia miała swoją drużynę pięściarską. Wskoczyłem na ten ring i zacząłem odczytywać, a w zasadzie wykrzykiwać przygotowane postulaty. Hala szybko wypełniła się górnikiem. Po słowach o rozliczeniu złodziei, a więc dyrektora i partyjnego sekretarza, górnicze hełmy poszybowały pod sufit.

Niebawem wyznaczaliśmy straż robotniczą, powołaliśmy Komitet Strajkowy, który na pierwszym zebraniu wybrał mnie na przewodniczącego.

Wskoczył Pan do tego ringu, dosłownie i w przenośni. Ci sami górnicy niebawem obrócili się przeciw Panu

Stało się to cztery tygodnie później za sprawą inżyniera Stanisława Kura. Do nowo powstałego związku zapisało się ponad 8 tys. pracowników, na 9 tys. załogę kopalni. Przed zakończeniem

strajku odbyło się posiedzenie Komitetu Strajkowego, który na mocy porozumienia zawartego pomiędzy delegacją rządową, a MKS-em w Jastrzębiu-Zdroju, przeobraził się w Komitet Założycielski Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych – KZ NSZZ. Na ostatnim posiedzeniu Komitetu Strajkowego zaproponowałem go na przewodniczącego. Wydawało mi się, że Kur jako człowiek wykształcony, będzie umiał nas poprowadzić. Tym bardziej, że była to jedyna osoba z dozoru, która otwarcie nas poparła i weszła do Komitetu. Jak to jednak mówią – „rewolucja zjada własne dzieci” i wkrótce stałem się jedną z pierwszych ofiar inżyniera Kura.

Dlaczego?

Przewodniczący Kur zachowywał się dość specyficznie. Traktował członków Prezydium Komisji Zakładowej, jak swoich poddanych, nie informował o swoich poczynaniach. Uważaliśmy to za przejaw lekceważenia, za pewną arogancję z jego strony. Chciał przerejestrować naszą kopalnię z MKR-u Jastrzębie (Międzyzakładowa Komisja Robotnicza) do MKZ-u Katowice (Międzyzakładowy Komitet Założycielski), gdzie działał dość radykalny Andrzej Rozpłochowski. Ja i pozostali koledzy z Prezydium kopalnianej Komisji Zakładowej byliśmy przeciwni takim ruchom. Nie chcieliśmy uprawiać żadnych politycznych gier, byliśmy prostymi górnikiem. Traktowaliśmy działalność Kura, jako coś destrukcyjnego dla naszego środowiska. W ostatnią sobotę września, we przybyła do naszej kopalni delegacja Zarządu MKR-u Jastrzębie-Zdrój. Pamiętam, że przyjechali Tadeusz Jedynak, Grzesiek Stawski i Kazimierz Włodarek. Zapytali nas wtedy: „co jest, do cholery, z tym waszym Kurem?!”. Powiedzieli, że rozbija rodzący się ruch związkowy i w związku z tym należy go odwołać. Podczas po-



Na pierwszym planie Adam Jeruzal, za nim Henryk Sikora, pełniący wartę honorową przy symbolicznej trumnie ks. Jerzego Popiełuszki przed Konsulatem Generalnym PRL w Sydney
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE HENRYKA SIKORY

siedzenia Prezydium Komisji Założycielskiej proponowałem zawieszenie Kura w sprawowaniu funkcji przewodniczącego. Wniosek poparło pięciu z sześciu członków, jedna osoba się wstrzymała.

Wydawało mi się, że odwołanie Kura powinno zostać poddane pod głosowanie całego gremium Komisji Założycielskiej, która faktycznie wybrała go na przewodniczącego, co przypominam stało się na mój wniosek. Poszedłem do stacji ratowniczej, by poinformować kolegów o podjętej decyzji, a tam w drzwiach drogę zastąpił mi... inżynier Kur mówiąc, że dla mnie już tu nie ma miejsca i im szybciej opuszczę kopalnię, tym lepiej. To jednak był dopiero początek! Godzinę później poinformowano mnie, że w cechowni odbywa się masówka. Poszedłem tam, mając kiepskie przeżycia... Zobaczyłem Kura, przemawiającego z ringu, ma którym cztery tygodnie wcześniej rozpoczynałem strajk. Oczerniał mnie i pozostałych głosujących za jego zawieszeniem. Stałem osłupiały. Jeszcze gorsza niż oszczerstwa Kura była reakcja zebranych górników, którzy mu uwierzyli. Muszę panu przyznać, że nigdy wcześniej ani później nie doznałem takiego upokorzenia.

Przejdźmy do kopalni „Wujek”. Był Pan tam, w tym trudnym czasie

Ten obraz będę miał przed oczami chyba do końca życia. 16 grudnia 1981 roku dotarłem na kopalnię około 12, na pewno przez 13. W powietrzu unosił się gaz łzawiący, trwała już pacyfikacja i były ofiary. Widziałem ciała sześciu zabitych górników. Pamiętam, też taką scenę – mnóstwo ludzi stojących przed kopalnią i czołg. Zgromadzeni rzucali w niego, w zasadzie tym co mieli pod ręką. W pewnej chwili z tego czołgu wychyla się młody chłopak i mówi – „ludzie, ja mam brata na kopalni Halemba”, na co odpowiedzieli mu, by pojechał tam i go zabił. Poje-

chałem do Katowic, gdzie spotkałem się z kolegami w kawiarni Silesia i opowiedziałem im co się stało. Wszyscy byliśmy zdruzgotani...

Nieco ponad dwa miesiące później został Pan aresztowany

Henryk Sikora – współorganizator i przewodniczący KS podczas strajku 1–3 października 1980 roku w KWK „Wieczorek”. Od października 1980 w „S”; wiceprzewodniczący Komisji Założycielskiej, członek MKR – Komitet Założycielski Jastrzębie, W 1981 roku delegat na I i II WZD Regionu Śląsko-Dąbrowskiego.

14 grudnia 1981 roku organizator i przewodniczący KS w zakładzie KWK „Wieczorek”, po pacyfikacji kopalni uczestnik masówki w KWK Wujek w Katowicach, po której został zwolniony pracy. Od 14 października 1981 roku do 26 lutego 1982 roku pozostawał w ukryciu. Zajmował się kolportażem pism podziemnych. 26 lutego 1982 roku został internowany, był przetrzymywany w areszcie KW MO w Katowicach, 3 marca 1982 roku aresztowany i osadzony w areszcie. 30 czerwca 1982 roku został skazany przez Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu na sesji wyjazdowej w Katowicach na 3 lata pozbawienia wolności, osadzony w ZK we Wrocławiu i Strzelinie. Od 7 marca 1983 uzyskał trzymiesięczną przerwę odbywaniu kary, 27 VII 1983. Został zwolniony na mocy amnestii 27 lipca 1983 roku.

W latach 1985–1991 był szefem Biura Informacyjnego „S” w Australii i korespondentem RWE, następnie od 1988 do 1991 roku członkiem Biura Koordynacyjnego „S” za Granicą w Brukseli. W latach 1989–1993 został współzałożycielem i wiceprezesem Australijskiego Funduszu Solidarności z Polską, następnie w latach 1991–1994 Australijskiego Instytutu Spraw Polskich. Od 2004–2007 roku był współpracownikiem Fundacji Centrum Solidarności, w latach 2007–2008 Instytutu Lecha Wałęsy. W 2016 roku przekazał ponad cztery tysiące dokumentów i pamiątek związanych z działalnością Solidarności w Australii do zbiorów Europejskiego Centrum Solidarności. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2009), Złotym Krzyżem Zasługi (1991).

Już na dwa dni przed aresztowaniem byłem jakiś niespokojny, jakbym przeczuwał, że coś się stanie. Zabrałem nosić ze sobą w torbie szczoteczkę, pastę do zębów i karton papierosów. Aresztowali mnie 26 lutego 1982 roku. Szedłem na konspiracyjne spotkanie w mieszkaniu Elżbiety Śliskiej. Po drodze minąłem zieloną Wo-

gę. Na tylnej kanapie samochodu leżał pluszowy miś. To zwróciło moją uwagę, coś mnie wtedy tknęło, ale machnąłem ręką myśląc, że zaczynam mieć już jakąś polityczną delirkę. Pomyślałem, że pewnie ktoś kupił swojemu dziecku... Kilka chwil później zosta-

łem aresztowany, siedząc obok tego misia. Esbecy wieźli mnie tą właśnie Wołgą. Czyli miałem nosa. Szkoda, że nie zaufałem instynktowi.

Jak wyglądał moment aresztowania?

Na klatce schodowej. Kiedy wszedłem na podwórko i podchodząc do klatki zobaczyłem dwóch stojących przy niej

facetów, to już wiedziałem, że to zostanę aresztowany. Zachowałem jednak zimną krew i udałem, że nie wiem o co chodzi. Tam na półpiętrze stało kolejnych dwóch. Było już dla mnie oczywiste, że jest kocioł, ale szedłem dalej z nadzieją, że coś wymyślę. Mi-

mi akt internowania z zarzutem, że stanowią zagrożenie dla porządku publicznego i ustroju socjalistycznego. Dopiero po kilku następnych przesłuchaniach wręczono mi akt tymczasowego aresztowania. Trafiłem do Aresztu Śledczego w Katowicach i po

Po wyjściu z więzienia zdecydował się Pan na emigrację do Australii, dlaczego akurat tam?

Zwolniono mnie na mocy amnestii w 1983 roku. Postanowiłem wtedy wyjechać. Dlaczego Australia? Ten kraj zawsze kojarzył mi się z wolnością i dużą przestrzenią. Wyjeżdżając obiecałem sobie, że w miarę możliwości będę coś robił dla Solidarności. Po uprowadzeniu ks. Jerzego Popiełuszki zorganizowaliśmy pikietę protestacyjną pod ambasadą PRL w Sydney. Początkowo nie wiedziałem jeszcze, że został zamordowany, choć miałem to straszne przeczucie. Mieliliśmy na sobie koszulki Solidarności, z czarnymi szarfami. Była też symboliczna trumna i krzyż. Przez kilka dni byliśmy jednym z głównych tematów australijskich mediów. Można powiedzieć, że zabójstwo ks. Jerzego było pewnym przełomem. Postanowiłem wtedy jeszcze mocniej się zaangażować. Do powołania Biura Informacyjnego NSZZ Solidarność w Australii doszło w marcu 1985 roku, działalność kierowaliśmy głównie na środowiska opiniotwórcze. Staraliśmy się też wspierać finansowo rodziny represjonowanych opozycjonistów w Polsce.

Aż nadszedł 4 czerwca 1989 roku. Co Pan wtedy czuł?

Doskonale pamiętam ten dzień. Był wyjątkowy. Choć padał deszcz to mieszkający w Australii Polacy bardzo licznie stawili się w kolejkach do urn. To było coś wspaniałego, przecież o to właśnie walczyliśmy!

Warto było wskoczyć wtedy na ten ring?

O tak, zdecydowanie! Zaangażowanie się w Solidarność było moim najlepszym życiowym doświadczeniem. Nie żałuję i nie żałowałem, nigdy. Nawet siedząc w więzieniu nie żałowałem ani jednego dnia mojego zaangażowania w Solidarność.

Rozmawiał Mateusz Wyderka



Spotkanie Henryka Sikory z premierem Australii Bobem Hawke'em na początku 1988 r. w sprawie przyjazdu Lecha Wałęsy do Australii na Kongres Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych. Wizyta nie doszła do skutku, gdyż Lechowi Wałęsie nie wydano paszportu

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE HENRYKA SIKORY

nałem ich i mówiąc „dzień dobry” poszedłem wyżej na trzecie piętro, ostatnie. Zapukałem do pierwszych drzwi. Po chwili otworzyła jakaś kobieta, po czym szepnąłem jej do ucha, że błagam ją by mnie wpuściła. Niestety wrzasnęła, że mam się wynosić. Wtedy usłyszałem – „ręce do góry” i zobaczyłem dwa wycelowane we mnie pistolety. Zawieźli mnie do tzw. Pentagonu, czyli na Komendę Wojewódzką MO w Katowicach. Pierwsze przesłuchanie trwało 12 godzin. Wiedziałem, że prędzej czy później zostanę w końcu aresztowany. Bałem się tylko jak się wtedy zachowam. Wiedziałem, że na początku stanu wojennego bito ludzi. Nie bałem się samego faktu bicia, tylko tego czy mnie nie złamią i czy nie będę sypał. Podczas pierwszego przesłuchania przedstawiono

dwóch tygodniach miałem pierwszą rozprawę – za zorganizowanie strajku w kopalni „Wieczorek”. Rozprawa odbyła się przed sądem wojskowym. Sądził mnie kapitan Lesław Ohanowicz. Celowo wymieniam jego imię i nazwisko, by oddać mu należny szacunek. Mógł skazać mnie nawet na pięć lat, ale ewidentnie nie chciał. Tak to zrzęcznie przeprowadził, że umorzył sprawę jako niekwalifikującą się do rozpatrywania przez sądy wojskowe, a do tego prokurator nie mógł złożyć odwołania. To była jednak z niewielu osób po „tamtej stronie”, które potrafiły zachować się godnie. Później odsunięto go od sądzenia w sprawach politycznych. Niestety w drugiej sprawie – za działalność podziemną, już nie miałem tyle szczęścia. Dostałem trzy lata.



TEKST | Grzegorz Majchrzak

Triumfalna podróż noblisty

Po wielu latach nieobecności, między 5 a 19 czerwca 1981 roku, w Polsce przebywał z wizytą Czesław Miłosz. Dlaczego właśnie wtedy? Najkrótsza odpowiedź brzmi: wcześniej nie bardzo mógł – po „zdradzie” Polski Ludowej (był m.in. I sekretarzem Ambasady RP w Paryżu) w 1951 roku przez wiele lat mieszkał w Stanach Zjednoczonych, a w kraju stał się wręcz osobą wyklętą. Przed 1980 rokiem jego twórczość ukazywała się – poza nielicznymi wyjątkami – jedynie w obiegu niezależnym, głównie w podziemnej Niezależnej Oficynie Wydawniczej „NOWA”.

Wszystko zmieniły wydarzenia z 1980 roku – najpierw powstał NSZZ „Solidarność”, a 9 października Czesław Miłosz, jako trzeci polski pisarz, otrzymał literacką Nagrodę Nobla.

Sentymalna podróż „starszego pana”

W tej sytuacji – co stanowiło dla władz PRL problem, a dla Służby Bezpieczeństwa zagrożenie – jego przyjazd do ojczyzny stał się oczywisty, wręcz nieuchronny. Miłosz został zaproszony do Polski przez Katolicki Uniwer-

sytet Lubelski w związku z planowanym na 6 czerwca 1981 roku nadaniem mu tytułu doktora honoris causa. Przyleciał dzień wcześniej i pozostał w kraju przez dwa tygodnie. Wizyta miała częściowo charakter oficjalny, częściowo półoficjalny, ale przede wszystkim – prywatny.

Wizyta była też pilnie śledzona. Nie tylko zresztą przez krajowe i zagraniczne media, ale również przez „czujnych” funkcjonariuszy SB i ich agencję (głównie w ramach sprawy pod kryptonimem „Poeta”). Tam też można znaleźć podsumowanie tej wizyty

autorstwa jednego z najcenniejszych tajnych współpracowników bezpieki w środowisku literackim – TW „Matrata”. Oceniał on: *Jego pobyt w Polsce należy oceniać wyłącznie w kategoriach wizyty starszego wiekiem artysty w kraju młodzińskich wspomnień. Żadnych interesów tutaj nie miał, mieć nie będzie, nie chce ich mieć. Ważne jest dla niego spokojne miejsce w Berkeley, dom rodzinny, synowie, własna biblioteka. Jakikolwiek deklaracje (choćby o katolicyzmie czy na temat socjalizmu) mogłyby mu zaszkodzić w protestanckiej Ameryce, gdzie żyje w znacznej mierze wśród liberalnych intelektualistów i trochę wśród Polonii.*

Może i takie rzeczywiście były intencje samego Czesława Miłosza, który jak twierdził po przylocie do kraju, mówił o sobie jako o „człowieku bardzo prywatnym i kameralnym”, który „nie bardzo umie dostosować się do

tej swojej nowej roli”, tyle, że – jak zauważali dziennikarze Radia Wolna Europa – jego wizyta „stała się istnym świętem kultury polskiej, w kraju i na emigracji”.

„Sto lat” dla noblisty

Przyjrzyjmy się, zatem jak przebiegała. Noblista – wieczorem 5 czerwca – przyleciał na warszawskie Okęcie. Tam został najpierw przywitany przez najbliższą rodzinę, później – w pokoju gościnnym pawilonu lotniczego – przez „wcześniej ustalonych gości” (m.in. pisarzy, delegacje KUL i NSZZ

„Solidarność” oraz przedstawiciela Ministerstwa Kultury i Sztuki). Na zewnątrz czekały pozostałe osoby, m.in. członkowie Akademickiego Klubu „Włóczęgów” z Katowic, którzy zaśpiewali mu piosenkę „Kurdesz”. Nie obyło się oczywiście również bez gromkich „Sto lat”, które odśpiewali mu tłumnie zgromadzeni na Okęciu rodacy. Wyrażnie zaskoczony taki powitaniem noblista stwierdził m.in., że

stytuty wydawnicze w Polsce uczynią wszystko, aby zapewnić każdemu dostęp do jego poezji”. Jak odnotowało RWE takiej deklaracji Tejchma nie złożył już jednak w przypadku prozy Miłosza. Ten ostatni miał z kolei stwierdzić, że jest „szczęśliwy mogąc podkreślić swe dożgonne związki z polską kulturą”, a także dodać, iż jest „głęboko wzruszony widząc tyle twarzy bliskich (...) po tak wielu latach”.

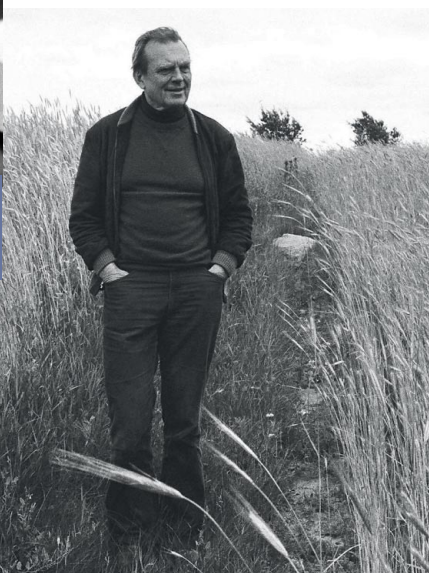
czas dyskusji unikał skrzętnie (i uniknął) wychodzenia poza krąg tego stereotypu. Ostatnim oficjalnym punktem programu tego dnia była wizyta poety w MKiS. Udał się tam na specjalny pokaz filmu Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”, nagrodzonego niespełna dwa tygodnie wcześniej Złotą Palmą na festiwalu filmowym w Cannes, w którym wykorzystano m.in. jeden z jego wierszy.

Spotkanie z „NOWą”

Najważniejszym punktem wizyty Czesława Miłosza 7 czerwca było małe, kameralne spotkanie z pracownikami oraz współpracownikami Niezależnej Oficyny Wydawniczej, do którego doszło w mieszkaniu Elżbiety i Pawła Bąkowskich. Jak mówił witając gości Adam Michnik: „NOWA jest dumna, że jako pierwsza w kraju zapoznała czytelników z twórczością Miłosza”. I dodał: „Nie kierowały nami motywacje polityczne, lecz artystyczne”. Poecie wręczono egzemplarz drukarski pierwszego wydania „Zniewolonego umysłu”. Z kolei Mirosław Chojecki, współzałożyciel i szef „NOWEJ” przedstawił mu (osoba po osobie) ludzi, którzy drukowali poszczególne tomy jego poezji. Wyrażnie wzruszony Czesław Miłosz wyraził uznanie dla ludzi, którzy mieli odwagę, ryzykując swą wolnością, wydawać m.in. jego dzieła. Mówił: „Chyba trudniej jest moje książki wydawać, niż je napisać”. Ponadto, jak informowali czujni esbecy, „złamał swój zwyczaj i podpisał setki książek wydanych nielegalnie w Polsce”. Tego samego dnia odbyło się też inne, zdecydowanie już większe spotkanie – w Pen Clubie z udziałem około 500 osób. W związku z nim doszło do znamienego i zabawnego incydentu – kiedy do drzwi podszedł wiceminister kultury i sztuki Stanisław Puchała i przedstawił się. Tymczasem pilnujący wejścia, którzy go nie poznali, stwierdzili spokojnie: „już tu kilku takich chętnych na podobny



Sopot 17 czerwca 1981 r. FOT. PAP / JERZY UNDRÓ
W drodze do komży, 13 czerwca 1981 r.
FOT. PAP / MACIEJ BILLEWICZ



„jest szczęśliwy, iż po 30 latach znalazł się w kraju”. Kolejne godziny poeta spędził w gronie rodzinnym.

Obietnica peerelowskich władz

W drugim dniu wizyty Miłosz wziął udział w oficjalnym – zorganizowanym przez władze PRL w Pałacu na Wyspie w warszawskich Łazienkach – spotkaniu z przedstawicielami świata kultury, pisarzami, filmowcami, aktorami i dziennikarzami. W jego trakcie gratulacje z okazji otrzymania literackiej Nagrody Nobla złożył mu minister kultury i sztuki Józef Tejchma. Minister zapewnił go również, że „in-

Tłumy w „Stodole”

Tego samego dnia noblista wziął udział w spotkaniu autorskim ze studentami w znanym warszawskim klubie studenckim „Stodoła”. W ocenie Służby Bezpieczeństwa brało w nim udział około 1200–1500 osób, a kilkaset kolejnych, które nie dostało się do środka, śledziło jego przebieg na specjalnych monitorach wystawionych na zewnątrz. Jak informował „Matrat”, który wyjątkowo pilnie śledził tę wizytę: *Okolo godziny (...) czytał swoje wiersze, nadając całej imprezie charakter nudnego nawet spotkania poety z czytelnikami. Również pod-*

numer było”. W efekcie na salę dostał się, ale dopiero po uprzednim wylegi-tymowaniu się.

Pobyt pod Wawelem

Kolejne trzy dni między 8 a 10 czerwca noblista gościł pod Wawelem. Wziął tam udział w sesji naukowej dotyczącej jego twórczości, którą zorganizował Uniwersytet Jagielloński, spotkał się ze studentami i naukowcami z UJ, pisarzami z krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich oraz członkami redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Podczas uroczystego, plenarnego posiedzenia ZLP Jan Józef Szczepański wręczył mu legitymację tego związku, stwierdzając, że Czesław Miłosz „nigdy nie przestał być członkiem związku”, a „jego nazwisko nie zostało wymazane ze świadomości polskich pisarzy”, zaś jego twórczość „z dorobku literatury narodowej”. Nieoficjalnym punktem wizyty w Krakowie było spotkanie w mieszkaniu Jacka Woźniakowskiego, u którego poeta się zatrzymał – z Jerzym Andrzejewskim, Jerzym Turowiczem, Andrzejem Żuławskim i „z innymi zaproszonymi przez gospodarza osobami”. Pobyt pod Wawelem był dla Miłosza na tyle męczący, że nie tylko nie przyjął zaproszenia na program artystyczny do legendarnej „Piwnicy pod Baranami”, ale też odwołał część zaplanowanych wcześniej spotkań (m.in. w Klubie Inteligencji Katolickiej oraz „Znaku”). Miał zresztą – jak informowało MSW – narzekać „na zmęczenie, niepotrzebną oprawę propagandową, organizowaną pomimo jego prośby by zachować nieoficjalny i półprywatny charakter jego pobytu”.

Poeta przyjeżdża do Lublina

Z Krakowa noblista udał się Lublina, do którego przyjechał 10 czerwca wieczorem. Jeszcze tego samego dnia zwiedził bibliotekę Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a także wziął udział w spotkaniu z polonistami (stu-



Skansen Kurpiowski w Nowogrodzie, gdzie Czesław Miłosz spotkał się z ze swymi przyjaciółmi z Wilna FOT. PAP/TOMASZ ABRAMOWICZ

dentami z kilku uczelni – oprócz organizatorów z KUL, również m.in. z Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Gdańskiego czy Uniwersytetu Adama Mickiewicza z Poznania), w którym uczestniczyło około 450 osób. W jego trakcie recytował kilka swoich wierszy i odpowiadał na pytania publiczności. Po raz kolejny – ze względu na zmęczenie – zrezygnował z jednego z punktów programu – tym razem była nim sztuka Karola Wojtyły „Przed sklepem jubilera”, w wykonaniu Teatru Dramatycznego z Wałbrzycha.

Miłosz oddaje hołd polskim robotnikom

Kolejny dzień – 11 czerwca – był dla poety bardzo intensywny. Tego dnia odebrał doktorat honoris causa przyznany mu przez KUL. Wcześniej jednak wziął udział w mszy świętej – odprawionej w kościele akademickim – w intencji polskich pisarzy i poetów zmarłych, zaginionych i zamordowanych w kraju, a także poza jego granicami w latach 1939–1945 oraz w spotkaniu z senatem uczelni i biskupami. Po południu natomiast złożył kwiaty na grobie poety Józefa Czechowicza,

a następnie wziął udział w raucie oraz w wieczernicy, w trakcie której znani aktorzy, w tym Daniel Olbrychski, recytowali wiersze, zarówno jego, jak i innych polskich poetów. Następnego dnia – 12 czerwca – był już dla Miłosza spokojniejszy. Najważniejszym punktem jego programu w tym dniu było spotkanie z członkami NSZZ „Solidarność” i Niezależnego Zrzeszenia Studentów na dziedzińcu KUL. W ocenie Służby Bezpieczeństwa wzięło w nim udział około dwa tysiące osób, w tym przewodniczący NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa. Czesław Miłosz – jak raportowali funkcjonariusze SB – w swoim krótkim przemówieniu „odał hołd robotnikom za to, co zrobili w ostatnim okresie dla narodu polskiego, a co jego zdaniem łączy się z jego dotychczasową twórczością”. To nie wszystko, dodał również, „że działacze nowego związku zasługują bardziej na uznanie niż on sam, jako pisarz”. Nazwał też Polskę „krajem wolnych robotników”. W trakcie tego spotkania odczytał też swoje wiersze, pozostałe recytowali aktorzy Teatru Polskiego z Bydgoszczy.

Kolejny przystanek – Łomża

Po tych kilku intensywnych i męczących dla noblisty dniach przyszedł czas na krótki, dwudniowy oddech (13–14 czerwca) bez oficjalnych spotkań oraz uroczystości, spędzony je-

oraz odbyło się – spontanicznie zorganizowane – „seminarium na temat recepcji twórczości Miłosza w Polsce”. Z kolei po kolacji wziął udział w spotkaniu „ze społeczeństwem Łomży” w Wojewódzkim Domu Kultury

Podziękowanie za „Solidarność”, uznanie dla Wałęsy

17 czerwca Miłosz złożył wieniec na grobie swej matki na cmentarzu w Sopocie, następnie został przyjęty przez I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Gdańsku Tadeusza Fiszbacha i udał się z wizytą do biskupa gdańskiego Lecha Kaczmarka. Niejako przy okazji wysłuchał koncertu organowego w katedrze oliwskiej. Jednak najważniejszym punktem jego pobytu w Trójmieście było spotkanie ze stoczniovcami i innymi zaproszonymi gośćmi w sali BHP Stoczni Gdańskiej. W drodze na nie złożył kwiaty pod pomnikiem poległych w Grudniu '70, znajdującym się przy stoczni. Jak potem raportowała Służba Bezpieczeństwa w trakcie tego spotkania – podobnie jak wcześniej w Lublinie – wyraził robotnikom wdzięczność za to, że powstała NSZZ „Solidarność”, którą uznał „za ruch społecznej odnowy, a nie siłę polityczną”, a także uznanie dla Lecha Wałęsy „za odwagę, upór i konsekwencję w swojej działalności na rzecz Solidarności”. Odpowiedział też na kilka pytań, ale zmęczony trudami tego kolejnego intensywnego dnia odwołał zapowiedzianą wcześniej recytację swych wierszy. W Trójmieście pozostał do dnia następnego – miał zamiar wziąć tam udział w procesji Bożego Ciała, a resztę dnia spędzić w gronie rodziny i przyjaciół.

Do Stanów Zjednoczonych odleciał 19 czerwca 1981 roku. Jak trafnie podsumowywał „New York Times”: „od chwili, gdy postawił stopę na płycie lotniska otoczony był tłumem wielbicieli”, zaś „wizyta w intencji samego laureata Nagrody Nobla pomyślana w ramach kameralnych przekształciła się jakby w triumfalną podróż. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



Spotkanie poety z pracownikami Stoczni Gdańskiej, obok Miłosza przedstawiciel Komitetu Zakładowego NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej Henryk Lenarciak FOT. PAP



Wejście przez historyczną drugą bramę na teren Stoczni Gdańskiej im. Lenina, 17 czerwca 1981 r. FOT. PAP

dyne w gronie najbliższych. 15 czerwca przyjechał do Łomży, by wziąć udział w „Łomżyńskiej Wiośnie Poetyckiej”. Organizatorzy – Łomżyński Klub Literacki i Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej – podjęli go oficjalnym obiadem. Następnie poeta zwiedził skansen budownictwa kurpiowskiego w Nowogrodzie, w którym spotkał się z grupą pisarzy

w Łomży, z udziałem kilkuset osób. Kolejnym punktem tego bardzo intensywnego dnia było krótkie, niespełna godzinne spotkanie z „aktywem kulturalnym Łomży” w klubie „Bonar”, w trakcie którego poeta otrzymał pamiątkowy medal z okazji swojego pobytu w Łomży oraz piastowskiego orła wykutego z metalu (replikę tego z Zamku Królewskiego w Warszawie). Na koniec – już po godz. 22 – zwiedził wystawę poświęconą jego życiu i twórczości zorganizowaną w Muzeum Okręgowym. W drugim dniu pobytu w Łomży wziął natomiast udział w porannej sesji literackiej „Być poetą”, w trakcie której „wygłosił kilka refleksji na temat swego pobytu w USA”, a także przeczytał kilka nieopublikowanych jeszcze wierszy. Następnie wyjechał do Trójmiasta, które było końcowym etapem jego wizyty w kraju.

85. rocznica masowych wywózek Polaków w głąb Związku Sowieckiego

W tym roku mija 85 lat od rozpoczęcia pierwszych masowych wywózek Polaków w głąb Związku Sowieckiego. Tysiące obywateli Rzeczypospolitej zostało zesłanych nie tylko na Syberię, ale również do odległych regionów Kazachstanu i Uzbekistanu.

Z tej okazji delegacja pod przewodnictwem szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Lecha Parella, udała się w dniach 6–11 października 2025 r. na uroczystości upamiętniające zesłańców. W jej skład weszli Sybiracy, ich rodziny, kombatanci, przedstawiciele Rodzin Katyńskich oraz Wojska Polskiego.

Na Polskich Cmentarzach Wojennych Olmazor I i Olmazor II, gdzie spoczywa co najmniej 71 polskich żołnierzy i cywilów, Lech Parell przypominał, że dla wielu tysięcy Polaków Uzbekistan stał się ostatnim przystankiem przed ucieczką z sowieckiej niewoli. – *Pochylamy dziś głowy nad mogiłami oficerów, żołnierzy i cywilów, którym nie było dane kontynuować marszu ku wolnej Polsce. Oddajemy symboliczny hołd wszystkim, którzy zmarli z głodu i chorób na bezkresnych terenach Związku Sowieckiego* – powiedział.

Delegacja uczestniczyła również w mszy św. odprawionej w Katedrze Najświętszego Serca Pana Jezusa w Taszkencie oraz spotkała się z przedstawicielami miejscowej Polonii. Złożono także kwiaty przed pomnikiem gen. Władysława Andersa, wzniesionym ku czci tysięcy Polaków – żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie, byłych jeńców, zesłańców i więźniów sowieckich łagrów, którzy zmarli w 1942 r. i zostali pochowani na ziemi uzbeckiej.



Uroczystości odbyły się również na Polskim Cmentarzu Wojennym w Szokpak Baba – miejscu spoczynku największej liczby polskich żołnierzy w Kazachstanie. W 1942 r. stacjonowała tam 8. Dywizja Piechoty Armii Polskiej w ZSRR. Przemawiając przy pomniku zmarłych i pomordowanych, Lech Parell podkreślił znaczenie pielęgnowania pamięci o losach zesłańców: *Niech historia zesłań będzie dla nas nauką, byśmy zawsze troszczyli się o wolność i prawa człowieka. Niech będzie też naszym zobowiązaniem do ciągłego wzmacniania Polski.*

W ramach wizyty w Kazachstanie Lech Parell wraz z delegacją spotkał się także z potomkami Polaków zesłanych podczas II wojny światowej do ZSRR. Spotkanie odbyło się w duchu pamięci i szacunku dla trudnych losów przodków dzisiejszej społeczności polskiej w Kazachstanie. Delegacja uczestniczyła również w uroczystości na Polskim Cmentarzu Wojennym w Mankencie.



FOT. UD SKOR (5)